





100

100

100

100



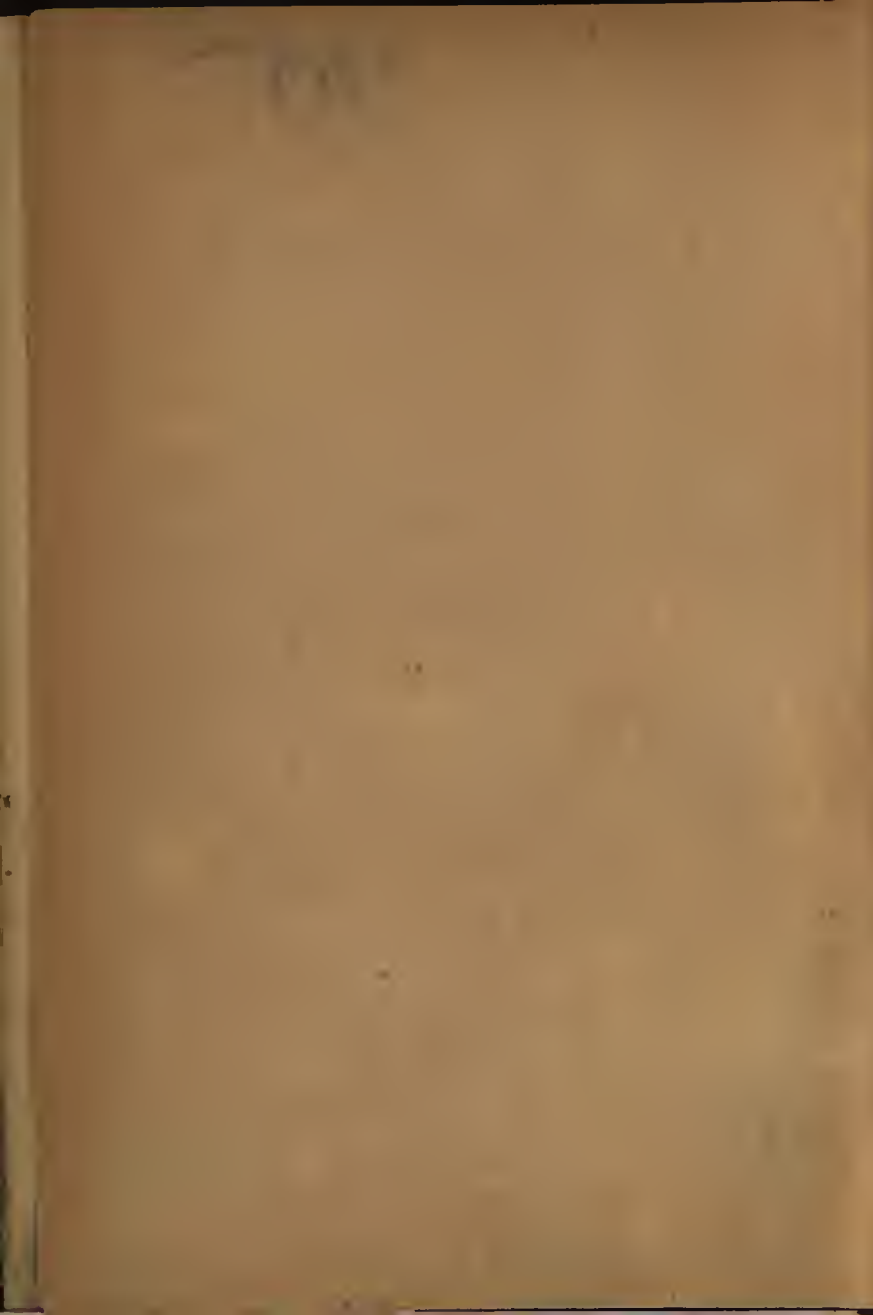
WYBÓR POWIEŚCI  
J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

---

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty dziewiąty.



2.110.  
CZESNIKÓWNY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

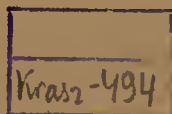
---

TOM I.

---

WARSZAWA.  
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1885.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 19 Сентября 1885 года.



Warszawa. — W Drukarni S. Orgelbranda Synów, Bednarska N. 26.

1936 D 26



Był to ranek młodej jeszcze wiosny. Drzewa ledwie się rozwijać zaczynały. Wcześniejsze już się jasną okrywały zielenią, na sadach widać było jakby powłokę kwiatów białych i różowych, któremi grusze i jabłonie rzęśisto były osypane. Słońce świeciło wesoło, w powietrzu balsamiczna woń rozpęka. jących brzoź ciągnęła z ciepłym wiatrem od lasów. Na łąkach widać było złociste łotocie, niby wzory rozrzucone na szmaragdowych kobiercach.

Ptastwo szczebiotało gwarnie, uwijając się około gniazd starych i zakładając nowe. Bociany, jaskółki, goście zdaleka opatrywali dawne siedziby i śpieszyli wyporządzić na nowe lato.

Z za płotu wychylały się krzaki bzu, już gotowe się otworzyć liliowemi bukiety. i rozesłać woń, wiosny zwiastunkę. Dzieci miejskie na ulicach biegały w koszulinach, szczęśliwe, że je promienie słońca odgrzewały do życia.

W małym miasteczku nadbużnem. w tę niedzielę przewodnią był właśnie targ i zjazd, bo w ko-

ściołku odpust uroczysty. Więc ze wsi okolicznych zjechali się włościanie. z czem kto miał na przednówku, — najwięcej z bydelkiem i domową hodowlą. bo ziarna mało co kto miał na sprzedaż. Ale gwaru było w rynku około gospody, i na cmentarzu przy kościele. i po uliczkach miejskich. i przy mnogich domach żydowskich, i około bud a kramów otwartych, przed którymi kraśne chustki i wywiezione buty długie. i rozstawione garnki, i nagromadzone sita i przetaki widać było.

Właśnie się w kościołku nabożeństwo skończyło; nabożny lud, szlachta okoliczna, ekonomowie wążsaci rozchodzić się zaczynali, szukając bryczek swoich i koni; część zamożniejsza popasała po gospodach. a skromniejsze zaprzęgi stały w rynku. torby koniom poprzywieszawszy.

Pomimo że wszędzie było pełno, największy jednak tłum gromadził się około Chaimowego domu; a zdawało się trudno to sobie wytłumaczyć było. Znać tam widowisko ludzie mieli jakieś, bo spinali się na palce. włączili na wozy, i jedni śmieli się i klaskali w dłonie, drudzy posępnie jakoś patrzyli; a ciekawych coraz więcej przybywało.

Przed gospodą Chaimową było podsienie na słupach rzeźbionych sparte, obszerne. przez które zajeżdżało się do szopy. Tu się znać odegrywał ów jakiś dramat miejski, który coraz więcej ściągał widzów. Że to był dzień targowy, odpustowy i wiosenny a świąteczny, można było przypuścić; iż tam dwu podpiłych zwadziło się, i poszło na słowa lub na pięście. Lecz w takim razie gwarby był inny, i krzyki śmiechby zastępowały.

Zbliżywszy się dopiero można było dojrzeć, co tak gorączkowe obudzało zajęcie. W przedsienu otoczonej ludem, naprzeciw drzwi otwartych gospody, z których też mnóstwo głów żydowskich wyglądało, i wrót od szopy pełnych woźnic i panów, związała się jakby w tańcu kobieta, śpiewając i skacząc wesoło, a nie zważając i zdając się nie widzieć nawet szyderstwo jej poklaskującego tłumu.

Wyglądała dziwnie. Była nie młoda, choć wieki na zwiędłej twarzy nikt nie rozpoznałby; rysy świadczyły o niepospolitej niegdyś piękności, lecz jakby zgniecionej i zmiętej dłonią czasu i ogniem namiętności, zdziczałej od szaleń. Zaczzerwieniona skóra, obłąkany wzrok dawały poznać łatwo, że nie była przytomną. Stare, odarte okrywały ją lachmany sukni, zszarżane, obłocone, połatane, podziurawione. Kniurak wisiał na niej strzępami, na nogach miała dzinrawe, zeczerniałe pończochy i rodzaj chodaków sznurami powiązanych. Włosy w nieładzie rozczochrane, bujne, spadały w części na plecy, w części nieforemnie pogniecione, oplatał rodzaj wieńca z łotoci i innych kwiatów polnych... Powpinane te ozdoby spadały jej na skronie. Chusta, która z głowy na szyję się zsunęła, wisiała na niej tak nieforemnie, jak cała odzież nieszczęśliwej, w której licu obłąkanie i pijaństwo dziwnym się malowały wyrazem.

Znać sen jakiś młodości wionął na nią z wiosennem powietrzem, bo się śmiechały spalone usta, i przymrużone oczy czarne patrzyły ławo... Rękami z obu stron najwęższy lachmany sukni jakby najdroższe stroje z wdziękiem dziwnie odbijającym od

nędzy i wiekn, drobniuchno skakała i biegła zwijając się obłąkana. Nie widziała nikogo, cienie jakieś otaczać ją musiały. Z nst to się głośniejsza, schrypla odzywała piosenka, to mruczenie i śmiech wesoly. Ludzie patrzyli i poklaskiwali nietościwie. Dzieci się urągały biednej kobiecie. Poważniejsi tylko. z wlepionym w nią wzrokiem, zdawali się chcieć odgadywać straszny dramat jakiś, którego te skoki były zakończeniem.

Nagle kobieta obudzona wrzawą, obejrzała się; oczy jej dopiero teraz zdawały się rozpatrywać w tłumie, którego była inragowiskiem. Zarnmieniła się bardziej jeszcze... ręce opuściły suknię... podniosła je do góry i wzięła się jedną w bok, drugą poprawiając upadające na czoło kwiaty łotoci.

— Łotry! chamy! zbóje! he! czego się śmiejecie? czego? Co to mi tańcować nie wolno? Przecież szlachcianka i cześnikówna... Żydzie! Jndaszul wódki!...

Poczęła szukać po kieszeniach wywracając je... Wypadła biała dwuzłotówka, nogą potraçała ją dojącego chłopaka.

— Podaj kwartę! słyszysz...

Żydek się schylił, podniósł pieniądz, a starszy podał mu przez głowy stojących wódkę i kieliszek.

Czarkę pełną podniosła do nst kobieta, wypila ją duszkiem i splunęła...

— Resztę częstnij... niech znają cześnikównę... Hopsa sa! hopsa sa!...

I poczęła znowu, zwijając się i przeginając, swój taniec, w którym jakieś ślady umiejętności i wdzięku dostrzedz jeszcze było można.

Żydek bliższych częstował, ale oprócz ostatniej hołoty, nikt wódki tej pić nie chciał.

Kobieta zaczęła śpiewać coraz głośniej, kręcić się coraz szybciej, szal ją opanował jakiś, łachmany rozwiane szeroko zwijały się z nią razem, nareszcie zdyszana padła na ziemię. Szczęściem że kupka słomy leżała tam, gdzie głową trafiła. Porwała się prędko i usiadła. Rozsypane kwiaty zdawały się ją najwięcej zajmować; zbierała je skrzętnie i drżącą ręką wkładała znowu w rozczochrane włosy. Twarz jej przybrała wyraz smętny i dumny.

Podparła się na jednym ręku i pocichu zaczęła nucić:

Już miesiąc zeszedł, psy się uspiły...

Głos z początku silniejszy zamierał na nstach: powtórzyła razy kilka:

— Filon mój miły,— i powieki kleić się zaczęły...  
Usypiała.

Tłum stał milczący, z szyderstwa przeszedłszy w zadnmę. Cicho było na chwilę, potem zaczęto szeptać i gwarzyć, odchodzili niektórzy, przypatrywali się drudzy uśpionej, z sukniami w nieładzie, z zao-gnioną od trunku twarzą, nieszczęśliwej. Żydowskie dzieci obstały ją do koła kopiąc nogami. Gospodarz wcale nie był rąd, że mu drogę do zajazdu zawałiła uśpiona. Ale dobudzić się jej teraz nie było sposobn; odurzona mruczała coś niezrozumiale, usta jej uśmiechały się dziwnie, ręce drgały, a oczu otworzyć nie mogła...

Właśnie w chwili gdy się to stało, powóz czterema końmi zaprzężony, podróżny, z tłumokami, wyminąwszy z trudnością wozy, nagromadzone na ryn-

ku, zbliżył się do domostwa Chaima i zatrzymał przed niem. Służący zeskoczył aby zobaczyć, czy zajechać było można; poruszyli się żydzi zapraszając, ale na drodze leżała owa kobieta. Z powozu wyjrzała głowa zakwefiona, średnich lat pani, która chwilę popatrzywszy, kazała sobie drzwiczki otworzyć i dosyć lekko wyskoczyła. Wytworny jej ubiór piękna kibić, rysy twarzy uderzającego wdzięku. pański chód—jakby czarodziejską różdżką rozpędziły tłum zgromadzony tak, że przejść mogła do gospody, nie czekając nim się uprzątnie przeszkoda; i powóz do sieni się zatoczył. Gospodarz czapkę zdjawszy, poprzedał ku drzwiom piękną panią. Już do nich dochodziła, gdy przypadkowo rzuciwszy okiem w bok, postrzegła leżącą na słomie kobietę, z kwiatkami zwiędłymi we włosach. Ciekawość czy litość wstrzymały ją, zawahała się i postąpiła kroków kilka, aby się bliżej tej nieszczęśliwej przypatrzyć.

Pijaczka leżała twarzą do góry tak, że jej rysy oblane krwawym rumieńcem, policzki zwiędłe, usta otwarte z resztką zębów pokruszonych, pomarszczoną szyję i sfałdowane czoło, i wyraz tego oblicza stężalego w jakimś marzeniu—można było widzieć dobrze. Piękna pani wyteżyła wzrok, całe jej ciało drgnęło, z ust dobył się okrzyk niezrozumiały, obie ręce, jakby odpychając widziadło, wyprężyła przed siebie; śmiertelna bladość okryła jej twarz, i służący stojąc blisko. ledwie miał czas podbieść i podchwycić ją, gdyż przerażona widokiem tej nędzy—omdlała.

Zamieszanie stało się wielkie... z powozu nadbiegła podżyła służąca, ręce załamując i śpiesząc do pani. Kilka osób podtrzymywało już osłabłą, którą na rękach prawie wniesiono do oczyszczonego na prędce gościnnego pokoju.

Tymczasem ogromny spór i wrzawa powstała między żydami, furmanem i przytomnymi. Zabierano się pijackę na gnój za gospodę wyrzucić, inni chcieli posyłać do straży i policyi, żydzi kopali nogami śpiącą... Ta ile razy przebudziła się ze snu, uśmiechały się jej usta, i mruzczała coś niby słodkie wyrazy jakies i szeptu miłosne...

Miało się skończyć na tem, że gospodarz najął ludzi, którzy mu się obiecali pijaną wynieść za dom; gdy przez ten tłum nacisnął się wysoki mężczyzna. Odziany jak ubogi szlachcic czynszowy. Odziany był w szewcką kapotę, siwą, naszywaną sznurami, długie buty i czapkę baranią. Na szyi wyschłej sterchała głowa z twarzą żółtą, pomarszczoną, surowego wyrazu, z oczami czarnymi, dzikiemi o brwiach nawisłych. Szedł milczący z rękami w kieszeniach, i zdaleka już postrzegłszy leżącą kobietę, w milczeniu dźwignąwszy ramionami, przecisnął się przez stojących aż do niej. Chwilę patrzył na nią nie mówiąc słowa. Usta mu się tylko wydeły i przybrały nieodgadniony wyraz litości i smutku. Właśnie ludzie najęci mieli pochwycić kobietę. gdy szlachcic porywczo zawołał:

— Wara mi!

Chaim się zbliżył chcąc coś powiedzieć, szlachcic nań popatrzył surowo.



— Zanieść ją na mój wóz! — rzekł sucho i rozkazująco... — Ot tam stoi; — dodał wskazując biczyskiem; — słyszycie...

Potem obrócił się do żyda i do tłumu razem.

— Ludziska bez wewnętrznosci! — zawołał, wódkę dać obłąkanemu aby sobie z nieszczęścia robić pośmiewisko. Tyś żyd aleś człowiek... a gdzie sumienie? — a u was gdzie serce i miłosierdzie?... I to się zowią ludzie. Starzy, — a bez bojaźni Bożej, młodzi, — i bez wstydu... Tfu!!

Wszyscy znikli, bo wszyscy sprawiedliwość słów tych poculi; niektórzy z rumieńcem po cichu ustąpili, aby ich nie postrzeżono. Ci, którzy mieli nieść kobietę do wozu, a zabierali się do tej czynności zrazu dziko i porywczo, przystąpili teraz pomrukując, ostrożnie i widocznie rozważając, jakby się to uczynić dało pocziwie i skromnie.

Szlachcic stał znowu milczący; patrzył na uspiołą, a batóg, którym się podpierał, drżał mu w ręku...

Wtem ze drzwi gospody wybiegła służąca omdlała pani, rozglądając się do koła...

— Cóż się stało z tą nieszczęśliwą! — zawołała. Moję panią tak ten widok poruszył.. że aż omdlała... bo nerwy ma słabe... Jak bo też można na drodze...

— Nie frasujcie się o nią. mruknął stary szlachcic; znajdzie się samarytanin co i tą niedolą się zaopiekuje... Ubogi nad ubogim...

Służąca popatrzywszy na mówiącego, całą rozbudzoną ciekawość swą niewieścią skierowała na kobietę... wpatrując się w nią z razu z roztargnieniem, potem z coraz więcej natężoną uwagą. Zbli-



żyła się nawet o ile tylko mogła, aby twarzy lepiej się przypatrzeć—i jakieś zdumienie odmalowało się w jej oczach... Zdawała się nie dowierzać temu co widziała. przetarła oczy parę razy, — i odstąpiła zadumana... z kolei przypatrując się posępnemu szlachci-cowi.

Przysunęła się do niego powoli, ze znacznie jakos wygrzecznąą twarzą, widocznie w chęci zawiązania rozmowy; lecz szlachcic, który oka niespuszczał z nieszczęśliwej kobiety, najmniejszej do gawędy nie zdawał się mieć ochoty.

— Pan ją zna tę nieboraczkę?—zapytała.

Szlachcic spojrzał na pytającą — i potrząsnął tylko głową.

— Ona tutejsza?...

I na to nic nie odpowiedział zaczepiony. Ludzie właśnie w tej chwili ująwszy śpiącą za nogi i pod ręce, dosyć ostrożnie, poczynając się szamotać i bronić, nieśli powoli ku wskazanemu wozowi... Głowa jej leżała na piersiach jednego z nich, z oczami ciągle zamkniętymi; lecz usta poruszały się i wyrazy niezrozumiałe wyrzywały z nich. Uspokoila się po chwili; — szlachcic ze spuszczoną głową poszedł za niosącymi... Służąca stała i patrzyła z ciekawością, której zaspokoić nie mogła...

Szcześciem, choć powierzchowność jej wcale nie była przynęcającą, zbliżył się ku niej pałacy fajeczkę, ekonomskiej fiziognomii i postawy podżyły jego-mość, i z uśmieszkiem zagadnął.

— Panna jej nie zna!

— Ale jam tu obca i z daleka jedziemy..

— A ja choć tutejszy—też nie wiem co za jedna...  
Panie Chaim—odezwał się do stojącego izraelity. —  
Cóż to u was tu za komedye znowu?

Żyd ramionami ruszył.

— To jest prawdziwe nieszczęście.. na mój dom,  
bo u mnie tylko porządne ludzie bywają...

— A cóż to za jedna? co za jedna? — zapytała  
służąca natarczywie.

— Albo ja tam wiem — flegmatycznie odparł go-  
spodarz, który znać nad tym wypadkiem nie chciał  
się bardzo rozszerzać — pijaczka, i po wszystkim...

— Zkąd? tutejsza?

Pan Chaim poprawił niecierpliwie jarmułkę,  
skrzywił usta... popatrzył przed siebie, jakby myśli  
zbierając.

— Płacze się tu od niejakiego czasu... atł włóczę-  
ga... Kto ją tam będzie znał. zkąd to przychodzi  
i gdzie się to podziewa...

— Jakże ją nazywają? — pytała przysuwając się  
służąca.

— Jak? ją każdy inaczej nazywa — mruknął żyd  
trąc brodę... Jedni ją nazywają panną Cześnikówną...  
drudzy waryatką... ona sama jak wódki się napije,  
to każe sobie mówić — panna Róża!... A zkąd ona  
te pieniądze bierze, bo nigdy nie zebrze... kto to  
ma wiedzieć!! Jak gdyby unikając dalszej rozmowy  
żyd się zwolna odwrócił, i pociągnął ku domowi...  
znikając we drzwiach.

Niedaleko stał podparty o słup mieszczanin,  
którego po sutej bekieszy i wysokiej, siwej baraniej  
czapce poznać było można. Słuchał on pytań i odpo-  
wiedzi. Człek był jakiś podżyły i stateczny... Pofał-

dowana, wygolona twarz. na której najmniejsze poruszenie czytać było można. wyrażała litość jakąś i zajęcie.

— Bóg to tam wie, — odezwał się zwolna nie pytany, z kąd się to do nas to przywlokło... to biedactwo... Jej tu naprawdę nikt nie zna. Czasem się pokaże, ot jak dziś, potańcuje, zaśpiewa, ludzi naśmieszy, nałaje i znowu zniknie; i nie ma jej jakich niedziel kilka... Całą tę zimę nie było widać... Dziś z rana widziałem ją na prymaryi klęczącą, z rękami podniesionemi przez całą mszę świętą, to bijącą się w piersi i jęczącą na cały kościół... Potem leżała krzyżem w czasie wotywy; a gdy wyszła jakby pijana z kruchty na rynek... pobiegła nad rzekę i narwiała łotoci, nawtykała jej sobie we włosy. i śpiwając doszła do karczmy ludzi śmieszyć... Wypiła jeden po drugim kilka kieliszków, i ot jak się skończyło.

Zamilkł mieszczanin.

— A cóż o niej mówią ludzie?—pytała panna służąca...

— Każdy co innego,—zwyczajnie jak gdy nic nie wiedzą; roją sobie co komu do głowy przyjdzie. Przeszłego lata rozpowiadali, że ją w lesie spotkali, i że się włóczyła nie wychodząc z boru kilka miesięcy. Lesniczy ją nadybał śpiącą w dziupli starego dębu, o jakie dwa łokcie nad ziemią; i tam słysząc sobie była zrobiła posłanie z liści... a drapała się do barłogu jak zwierz dziki... Zwyczajnie pomieszanych zmysłów biedactwo...

Ale to nikomu niby złego nie czyni. co najwięcej że połaje gdy się z niej ludzie śmieją... boć

to się z takiego nieszczęścia śmiać nie godzi!—Bóg tam raczy wiedzieć z czego jej to przyszło, a pewno nie z rozkoszy ale z dopustu Bożego...

To mówiąc mieszczanin się pokłonił zlekka i odszedł w swą drogę.

Panna służąca założywszy ręce patrzyła w stronę wozu, przy którym stał szlachcic na biczysku oparty, jak gdyby go pilnował. Miała wielką ochotę pójść jeszcze poprobować, czyby się co z niego dożyć nie udało, ale twarz miała odkrytą, a choć dawno powinna była wyrzec się wszelkiej pretensyi do piękności, straszyla ją to wiosenne słońce, które tak prędko opala. Ze drzwi też ukazał się wychodzący z pośpiechem służący, który ją prosił aby szła do pani. Wyrzec się więc mnsiała schwycenia czegoś więcej, i wróciła na palcach do gościnnego pokoju...

Izdebka była pusta, chłodna i smętna jak więzienie... Na tapczanie, naprędce zasłanym sianem i pokrytym dywanikiem, spoczywała przybyła pani, z bladą twarzą i wzrokiem wlepionym nieruchomie w podłogę;—nie była jeszcze przyszła do siebie z wielkiego wzruszenia, które tak silnie podziało na jej słabe nerwy. — Gdy się drzwi otworzyły, drgnęła przestraszona, i rękę przyłożyła do czoła...

Nie była już młodą, ale wielka jej piękność przetrwała znać wiek i życia burze... Czarne oczy nie straciły jeszcze blasku, twarz delikatnej płci i świeżości. usta wdzięku z jakim się niegdyś uśmiechały...

Strój jej podróżny dowodził też, że o te resztki piękności dbać musiała; od małego trzewiczka, który okrywał nóżkę zrezną, aż do zasłonki,

zastępującej w drodze niewygodny kapelusz, wszystko było wytworne, kosztowne, wonne i eleganckie...

Rozrzucone na stole podróżne torebki i okrycia, również były kosztowne i piękne...

— Cóż się stało z kobietą? — odezwała się głosem słabym, postrzegłszy wchodzącą sługę — nie wiesz??

I czarne jej oczy z jakąś obawą zatopiły się w twarzy przybyłej, usiłując ją wybadać.

— Jakiś litościwy szlachcic kazał ją zanieść na swój wóz i położyć na nim... bo inaczej toby ją źli na gnój, za karczmę wyrzucili... bez żadnego miłosierdzia.

— A nie pytałaś co to za jedna? jeszcze trwożliwym głosem dodała kobieta...

— Owszem, proszę pani... pytałam... ale mi nikt prawie nic powiedzieć nie umiał, oprócz że obłąkana, że się po lasach włóczy, a czasem się zabija. Nikt jej tu nie zna... Mówili mi, że się Cześniówną nazywa... i...

Nie mogła reszty dopowiedzieć służąca, gdyż w tej chwili jej pani znowu się źle zrobiło, załamała białe ręce konwulsyjnie i padła na poduszkę. Służąca dostawszy flaszczkę z solami, trzeźwieć ją zaczęła przestraszona...

Były to jednak mdłości przechodzące, gdyż wprędce podźwignęła się kobieta i trąc skronie — zawołała jakby się tłumacząc...

— Powietrze w tej izbie okropne!... Umilkła, spuściła oczy...

— Mówiłaś zdaje mi się, że ją nazywają Cześniówną?...

— Tak jest — podchwyciła sługa, sądząc że panią rozerwie opowiadaniem — a ona sama słysząc nazywa siebie czasem — panną Różą...

Oczy słuchającej blysnęły... Nie chcąc jnż więcej wiedzieć, pochyliła się na poduszkę...

Sługa wcale stanu tego zrozumieć nie mogła...

— Coby to pani zrobić? — spytała.

— Ale nic. moja Bogucka — nic — to przejdzie... wiesz że ja miewam takie mdłości. Wczoraj jnż czułam się niezdrową. Potrzeba mi spoczynku...

— Możebyśmy zanocowali... ale tu wrzawa targowa,... pewnie do późnej nocy ludzie pić będą... Pani zdawała się wahać i walczyć z sobą. i nieodpowiedziała prędko...

— Moja Bogucka — odezwała się cicho... nie patrząc na nią — pójdź, proszę, i zobacz co się stało z tą nieszczęśliwą... Z myśli mi wyjść nie może — okropne na mnie zrobiła wrażenie... Powiadasz, że tam jakiś nbogi szlachcic się nią zaopiekował... pójdź proszę i daj mu dla niej... od siebie... Zaczęła szukać wóreczka...

— Daj... ile zechce — dodała;... a może jaką suknię. okrycie... Trzeba jej pomódz...

— Ale ona to przepije...

Pani drgnęła usłyszawszy to...

— Co nam do tego — odezwała się głosem słabym... Pijąc, zapomni że jest nieszczęśliwą... albo ją wódka dobije... prędzej skończy... Moja Bogucka... idź, zrób od siebie — rozumiesz... co można... nie żałuj.. Ty masz dobre serce...

Połączana tem, wybiegła natychmiast panna służąca, jnż tym razem nawet nie zważając na opala-

jące słońce wiosenne. Lecz gdy z karczmy wypadłszy, szukać poczęła wozu, na którym złożono obłąkaną. Już go na miejscu, w którym stał, nieznalazła. Pytała stojących, nikt nie umiał powiedzieć co się z nim stało. — Dopiero po chwili, rozpatrując się do koła, spostrzegła, że szlachcic troskliwy znać by śpiącej słońce nie dogrzewało, podjechał z nią pod cień, który rzuciła szopa, stojąca niedaleko. Tu sparty plecami o wóz, zamyślony, stał na straży.

Panna Bogucka musiała pójść do niego. Na widok zbliżającej się, szlachcic wąsami poruszył niecierpliwie; — trzeba było być bardzo grzeczną.

— Chciałbym w czym pomódz tej nieszczęśliwej — odezwała się nadchodząca.

— A jakże jej dopomódz? jak? szydersko się uśmiechając rzekł szlachcic...

— Pan się nią opiekujesz, może byś dla niej chciał przyjąć...

— Ale ja się nią nie opiekuję — jako żywo, ofuknął szlachcic — ona się nie da nikomu sobą opiekować; to darmo. Mam litość nad nią... Gdy się przebudzi... wyskoczy z wozu... i tyleście ją widzieli...

— Choćby lepsze jej dać okrycie?

— To je poszarpie i powala, bo się w błoto na noc spać położy... rzekł szlachcic. Na taką dolę — mówił wzdychając, nawet najtroskliwsza opieka nie pomoże. Zamknąć ją, będzie jeszcze więcej cierpiała, bo w miejscu usiedzieć nie może. To darmo.

— Pan ją znasz?

— Tyle co i waćpanna — odparł szlachcic ponuro. Nie pierwszy ją raz ratuję, bo mam taką naturę, że



się do nie swoich rzeczy mieszam nie proszony, gdy mi się serce ściśnie... Ot—stara głupota!

W tem gdy rozmowa stawać się zaczynała głośniejszą, przebudzona znać nią kobieta, ruszyła się, wyprostowała, odgarnęła włosy z twarzy, i czarnymi oczami powiodła do koła.

— Wiosna! zawołała śmiejąc się... Wiosna... zagląda w okienko... aż pachnie. To to już Maj! A ja tu? Na cudzym wozie... Jakim sposobem... Czy mnie myśli porwać! A! nie doczekanie... Już tego było dosyć — ja sobie swobodną być chcę... Do lasu czas... do lasu!

Żwawo porwała oburącz za drąg od wózka, podniosła się i skoczyła z siłą i zręcznością, którejby się po niej spodziewać nie było można.

W tym skoku ostatnie z jej włosów łotocie na ziemię upadły, prędko schyliła się zbierać; — lecz zobaczywszy je zwiedle, odrzuciła daleko z gniewem.

— W lesie znajdę inne... a to już tylko śmiecie... Ustroję się i będę śpiewała... tam mi wszystko wolno! Wilcy wyją, a ja śpiewam jakby jedną pieśń...

Panna Bogucka osłupiała patrząc i słuchając; szlachcic także. Spojrzała na nich.

— Co wy się mnie przypatrujecie!... Cześnikówna jestem... a co? nikt mnie nie poznaje, takim wyładowiała... Róża! Różyczka! ale z niej liście opadły... Nagle zbliżyła się do szlachcica, kładnąc mu rękę na ramieniu.

— Kieliszeczek wódki! he! bo już nie mam grosza.

— A dosyć już tego! dosyć — rzekł szlachcic surowo—obraza Boża...



— Obraża Boża! ale! zmieszana odezwała się obłąkana — niby to pan Bóg taki nielitościwy, jak wy, żeby się zaraz obrażał. kiedy chory się napije, a jam chora! dalipan!

— Ludzie się z was śmieją — mruknął szlachcic.

— A ja z nich... — dygając, odparła Cześnikówna. A no! niech się śmieją! na zdrowie. Ot to mi wielki strach!... Cha! cha!

Stali w cieniu; — wiatr wiosenny pociągał od łąk; wiatr chłodnawy. — wstrząsła się kobieta biedna i ścisnęła ręce. Bogucka wzruszona, szybko zdjęła z ramion chustkę ciepłą. i rzuciła ją na ramiona ubogiej; — ta zrazu stała zdumiona, i przypatrywała się ciekawie swojemu nowemu okryciu. Nie podziękowawszy nawet Boguckiej i nie rzuciwszy okiem na nią, wciąż dotykała palcami i oglądała się po chustce: — zaczęła się obwijać i układać. Spoważniała nagle, — wyprostowała się.

Bóg zapłać! — mruknęła, nie patrząc. — Bywajcie zdrowi... Czas do lasu... już bociany przyleciały dawno, a ja do mojego gniazda nie powróciłam... Co oni na to powiedzą! Trzeba spieszyć. bo tam może gospodarstwo czeka. Do nóg upadam!

Dygnęła.

Szlachcic i panna Bogucka patrzeli. jeszcze nie wiedząc czy ją wstrzymywać; gdy obejrzawszy się tylko po miasteczku, jakby dla przypomnienia położenia, znikła im z oczów, biegnąc między domostwa i szopy...

Gdy służąca przyszła zdać sprawę swej pani z poselstwa. znalazła ją z chustką na oczach, którą prędko resztę łez otarła, usiłując je ukryć i złożyć na ból głowy. Spytała, czy miała zręczność dać co ubogiej i otrzymawszy odpowiedź. że tylko chustką ją swoją okryła, — piękna pani chwyciła szal ze stołu, i szybko w zamian za tę jałmużnę, oddała pannie Boguckiej.

— Cóż się z nią stało?

— Pobiegła do lasu... bo ona tam zwykle przez całe lato przebywa biedna.

Pani spozirzała na nią oczami zdumionemi, chciała pytać o coś jeszcze, i słowa na ustach jej zamarły.

— Nie wiem. odezwała się po namyśle, czy ja już dalej jechać będę mogła — muszę trochę spocząć. Na nieszpory pójdę do kościoła... jutro rano wybierzemy się dalej.

W postanowieniu tem było coś tak niezwykajnego, iż panna Bogucka popatrzyła zdumiona na panią, niedowierzając swym uszom.

— Widzisz że jestem chora — odezwała się cisnąc czoło ręką białą; — potrzebuję odpoczynku... podróż mnie niezmiernie trudzi. a choć nam pilno... to pół dnia można będzie nagrodzić...

— Zapewne. odpowiedziała Bogucka, ale jeśli się pani źle czuje możeby i do kościoła iść nie wypadało. Ścisak pewnie pospółstwa będzie na nieszporach, w kościółku; albo zaducha i chłód wiosenszany.

— Potrzebuję się pomodlić... Święto! — odezwała się pani spuszcżając oczy.

Na tem skończyła się rozmowa; służąca poszła zanieść rozkazy pani. Obiadu przygotowanego nie

tknąwszy prawie, podróżna usłyszawszy dzwony kościelne, okryła się zasłoną, otuliła czarną narzutką, i wyszła. Chcąc jej towarzyszyć Boguckiej prosiła, ażeby została przy rzeczach. Musiała jej być posłuszną; lecz lękając się o powtórzenie rannych młodości, nic nie mówiąc wysłała troskliwa sługa lokaja, który zdala miał iść za panią.

Wieczór był piękny, tłumy w rynku już się przedzwały, reszta tylko pozostałych włościan, mieszczanie napelniali kościołek, wszystkim naszym wiejskim podobny. Pachniało w nim świeżym tatarakiem, którym potrząsiono podłogę; — jaskrawe obrazy, postrojone w wianuszki, i chorągwie przy ławkach stojące: wizerunki Chrystusa i Świętych, złożone i malowane; ołtarze boczne obwieszone wotami i pasmami lnu,... w pół mroku wieczora składały się na wiejski obrazek, wielkiego wdzięku. Mało było osób oprócz pobożnego ludu, najwięcej kobiet, z których część znaczna z poprzewiazywaniem białemi rańtuchami, widocznie z sąsiednich wiosek przybyła. Nieszpory i pieśni pobożne odbyły się skromnie i cicho. Organ tylko towarzyszył śpiewom, a kilka świec na wielkim ołtarzu, zaraz po ukończeniu nabożeństwa gasić zaczęto. Przez cały czas nieszporów, ze złożonemi rękami i głową na nich opartą przesiadywała podróżna, w jednej z ławek bocznych. Lud już wychodził i kościołek stawał się pustym, gdy przypomniawszy sobie znać gdzie się znajduje, podniosła się z siedzenia, bojaźliwem okiem obejrzała do koła. Służący ukryty był za słupem w kruchcie tak, że go zobaczyć nie mogła;... skierowała się krokiem niepewnym ku zakrystyi.

Właśnie ksiądz wikary kończąc modlitwy, zdejmował kapę i albę, gdy piękna pani weszła. Musiała poczekać chwilę, nim wstał z kłęcznika; przystąpił ku niej grzecznie.

— Jestem podróżną i nieznana, rzekła po cichu drżącym głosem wpatrując się w księdza, który jej słuchał z uwagą. Czy nie mogłabym kilka słów pomówić z księdzem proboszczem... Może ma gości...

— Nie, pani dobrodziejko — odparł wikary, proboszcz jest trochę słaby. a że to człowiek w wieku i podlega często febrze, doktor mu zakazał narażać się na wiosenne powietrze... Widzieć się z nim można, niema na plebanii nikogo...

Wikary urwał nagle, i po chwilce dodał nieśmiało.

— Czy pani dobr... poleci mi oznajmić mu o jej przybyciu.. a może zechce powiedzieć... z kim będzie miał honor?

Kobieta zarumieniła się mocno.

— O! moje nazwisko zupełnie tu nieznane, i ks. proboszczowi także. Chciałam powziąć pewną wiadomość...

Uważając, że ją tem zakłopotał wikary sklonił się w milczeniu, i otwierając drzwi boczne zakrystyi wskazał ku probostwu drogę. sam śpiesząc ją poprowadzić i oznajmić. Ścieżynka wiodła przez część starego cmentarza, wśród której wznosiły się stare krzyże i ceglane pomniki,... do furtki dziedzińca.

Tu stała skromna plebania wśród krzewów rozpuszczonych i zieleniejących. Nawet bzy wcześniej już rozkwitały od strony południa.

Cisza głęboka panowała w tym kątku ubogim... ptaszęta tylko świergotały i cała gromada kur przechadzała się na trawniku.

Podróżna szła bardzo powoli, przypatrując się temu obrazkowi jakby ociągając. Dopiero gdy wikary, powracający od proboszcza ukazał się na progu, przyspieszyła nieco kroku. — We drzwiach głównego pokoju stał już i proboszcz staruszek, z szyją obwiązaną chustką, w czarnej czapeczce na głowie. — Był to niemłody już człowiek i znać schorowany. Cere miał żółtą, twarz zmęczoną. ręce którymi przytrzymywał chustę całe były nabrzękłe i pokrzywione od reumatyzmu, jedno ramię znacznie przewyższało drugie... Opierał się znać na kiju, który teraz miał pod pachą. Mimo tych oznak cierpienia w twarzy staruszka widać było niezmierną energię, życia zapas cały. Oczy miał czarne, małe, błyszczące i patrzące niespokojnie, czoło oznajmiało rozwinięte umysłu władze...

Ogół rysów uderzał charakterem, niepospolitością swą, wyrazem głębokim. — Piękna pani pośpieszyła na próg, aby go uwolnić od niebezpiecznego przewiewu. Staruszek powitawszy ją wpatrywał się z wielkiem zajęciem w nieznajomą. — Zdumienie malowało się na jego twarzy i jakby niedowierzanie...

Wskazał natychmiast krzesło przybyłej, i przepraszając ją sam też siadł, chwytając się za kolano, — gdyż na nogach długo utrzymać się nie mógł.

Jak w tęczę miał w nią wzrok wlepiony. co widocznie niespokoić musiało przybyłą, gdyż osłaniała się poprawiając narzutkę, i szukała miejsca aby w cień pozostać.

— Przebaczysz mi waćpan dobrodziej. — odezwała się po małym przestanku przybyła — iż się go trudzić ośmielam, nieznajomą będąc. — Przejeżdżałam dziś rano przez miasteczko, i nie byłabym się w niem zatrzymała, ale widok przykry takie na mnie uczynił wrażenie żem zasłabła...

Nie będziesz się waćpan dobr. dziwił słabej kobiecie iż ją cudze nieszczęście... obchodzi... W istocie coś tak extraordinaryjnego... że i litość i ciekawość obudzić musiało... i to mnie powoduje, żem się ośmieliła objaśnienia szukać u duchownego ojca.

Mówiąc to, piękna pani mieszała się niezmiernie, głos jej słabł, wysilał się, powracał; podnosiła i spuszczała oczy. Staruszek słuchał nie przerywając z wielką i bystrą uwagą. Nie zdawał się jeszcze domyslać o co chodziło.

Po chwili milczenia podróżna mówiła dalej.

— Był to widok rzeczywiście okropny. Jakaś półpijana, pół obłąkana kobieta, którą tłum urągając się, otaczał... nie mogłam się o niej nic dowiedzieć...

Zamilkła, staruszek patrzył zamyślony...

— Nieszczęśliwa — rzekł krótko — nieszczęśliwa...

— Lecz — czy by coś na poprawę jej losu, dla... uczynienia go znośniejszym nie można przedsięwziąć.

Pleban głową potrząsł, patrzył ciągle na nieznajomą, przysłuchiwał się jej głosowi i dumał.

— Któż ona jest? niespokojnie dodała przybyła. WP dobr. wiedzieć o tem musisz?

Kończyła. gdy wikary ukazał się w progu i skinął na proboszcza, mówiąc półgłosem.

— Pan Skórski przyjechał, i chciałby się widzieć.

Słowa te były wymówione tak, że je przybyła usłyszeć musiała; zerwała się z siedzenia, konwulsyjnym ręki ruchem narzuciła gęsty wola na oczy. i cała drżąc, jakby bezmyślnie cofnęła się w głąb pokoju. — Proboszcz to widział.

— Poproś go aby u was na mnie zaczekał, rzekł. — pani by zapewne było przykrem, spotykać się tu z nieznajomymi...

Nieuspokojona tem jeszcze kobieta, stała w oknie kryjąc twarz.

— Niechcę przeszkadzać—odezwała się.

— Proszę pani siadać, pan Skórski poczeka na mnie... u ks. wikarego...

Znikł ks. wikary, drzwi się zamknęły i podróżna wróciła ku swemu krzesłu. Proboszcz ciągle się w nią wpatrywał, choć już nie zdjęła zasłony i uchyliła tylko nieco, aby mieć wolne usta.

— Zdaje mi się. odezwał się głosem smutnym, żeś mnie pani pytała — kto ona jest? Przebacz, starym jestem i kapłanem. wolno mi więc odpowiedzieć wam jak owieczce... jak niewieście. — Na co ta ciekawość próżna? — Pomódz jej może tylko jeden Bóg, gdy ją z tego świata zabierze... Cóż wam potem. że się dowiecie o tej, o której lepiej by ludzie zapomnieli... Ja dotąd nie wiem, ja o losach jej nie jestem uwiadomiony dokładnie... najjaśniejsze to coście widzieli na oczy własne, nieporatowany upadek...

Kobieta milczała długo, zdawała się walczyć z sobą.

— Mówiono mi, że ją nazywają Cześnikówną... że ma imie Róża?—zapytała...



— Być może — odparł stary.

— Że się kryje po lasach... kończyła przybyła, lecz czyżby jej stałego przytułku znaleźć nie można?

Proboszcz popatrzył na pytającą.

— O przytułek taki nie byłoby trudno — rzekł, są litościwe serca i ludzie coby zniesli to biedactwo dla miłości Chrystusowej, ale się ona nigdzie nie utrzyma... Wyrwie się z zamknięcia, połamie kraty, powybijają drzwi, głową tłuc będzie o ściany gdy ją szal ogarnie... Potrzebuje swobody — i niech tam Bóg się nad nią ulituje;... przerwawszy nagle dokończył stary.

Podróżna ręce załamała... wstała z krzesła, zdawało się że jakiś wyraz stanowczy miała już na ustach, lecz siadła znowu cała drżąca.

— Gdyby to się na co tej nieszczęśliwej przydać mogło, — zawołała — złożyłabym chętnie na ręce pańskie ofiarę moję dla niej... dla ulżenia jej losowi.

— A cóż ja z tem zrobię? — zapytał proboszcz... dać jej nie można nic, rozrzuci, rozda lub przepije..

Westchnął, kobieta płakać zaczęła. Czułość ta, którą zapewne niewieściej drażliwości przypisywać musiał duchowny, nie zadziwiła go bynajmniej, czekać się na coś zdawał..

— Ale jakże do tego stanu przyszła? z kąd i jak dawno jest tutaj? poczęła pytać z gorączkowym pośpiechem.

— W okolicy już od lat wielu się błąkała, a gdzie wprzód była — któż to wiedzieć może...?

— I zjawiała się już w takim stanie obłąkania, dając mej ciekawości, — mówiła podróżna... nie wiem dla



czego widok tego nieszczęścia takie na mnie uczynił wrażenie — jestem niem przejęta cała...

Zmieszała się widocznie...

— W początkach nie było tak źle... błąkała się — rzekł proboszcz, nie mówiła do nikogo, nikt od niej nie dopytał słowa... Potem rozwiązały się usta od napoju... i powiększył szal. Nie dziwuję się pani, że masz tę litość nad nią; — w istocie znsluguje na nią — jest bardzo biedna istota — bardzo biedna.

Słuchająca pochwyciła się za głowę, chustkę poniosła do oczów, widocznie tłumiała łkanie i wybuch płaczu... Jakby dłużej wytrzymać nie mogła, zerwała się nagle z siedzenia... dobyła z woreczka zwitek pieniędzy i wcisnęła go w chorą rękę proboszcza.

— Na miłość Bożą, weź to ojczy odemnie, może się zdarzy okoliczność — zrzeczność jaka ratowania, dopomożenia jej... błagam was...

Staruszek był wzruszony... pieniądze jednak zwolna odpychał.

— To niepotrzebne — odezwał się — znalazłyby się pieniądze gdyby niemi dla niej co uczynić można. — Nie użyje ich...

Cała ta scena miała w sobie coś tak dziwnego, jak gdyby ani proboszcz, ani przybyła wszystkiego co sobie powiedzieć mogli, wyjawić nie chcieli. — Staruszek poczynął otwarciej i wstrzymywał się, kobieta z ust prawie wyrrywające się słowa cofała... Już chciała się żegnać i odejść, gdy proboszcz rękę jej ujął i posadził w krzesło...

— Czyż myślisz żem cię nie poznał? — rzekł cicho... lata cię nie zmieniły pani moja... widzę tylko, że los się wasz odmienił, że lękacie się być odgadniętą i po-

znaną? Lecz możecie się lękać tego, komu codzień przy spowiedzi otwierają ludzie sumienia swoje?...

Krzyk bolesny wyrwał się z piersi kobiety, która sobie oczy zakryła. — Chciała uciekać, sił jej zabrakło... Proboszcz siedział spokojny, krzyżem ją żegnając, jakby na nią chciał zlać spokój ducha...

— Bóg z tobą! Bóg z tobą! uspokójcie się — kapłan jestem...

Kobieta rozplakawszy się, długo do słowa przyjść nie mogła. na ostatek rzuciła się na kolana przed starcem... który zdawał się cichą szeptać modlitwę...

— Wstań, rzekł — mówmy, abym cię pocieszył jeśli można. i abym był pocieszony bólem twoim...

Ale łzy nie przestawały płynąć, i przybyła mówić nie mogła.

— Nie pytaj mnie, ojciec o losy moje, ani o nazwisko... Zmieniło się jedno i drugie... nic we mnie nie zostało z przeszłości, oprócz gorzkich wspomnień... Wydobyłam się z tego błota i upadku... lecz ona... lecz siostra moja... O Boże wszechmogący! co za obraz... co za dola...

I znowu płacz przerwał jej mowę.

— Nie będę pytał o nic — rzekł stary — mówmy o niej; — teraz już, gdyś przyznała się do niej. masz prawo wiedzieć tyle ile ja wiem...

Słyszałaś jego nazwisko?—dodał ciszej—o ścianę m czeka u wikarego i nie wątpię, że przyszedł jak zawsze szukać u mnie rady przeciwko niej... Ona mu nie daje chwili spocząć... ona się na nim mści, ona dla niego tu jest do dziś dnia.—Pragnienie zemsty trzyma ją przy życiu. — Skórski chciał się wyprzedać i wy-

nieść z okolicy, próbował się gdzieindziej osiedlić, ścigała go. znalazła, nie dała mu spoczynku... Wie on dobrze, iż gdyby chciał się żenić. pójdzie do jego narzeczonej, znajdzie się u ołtarza w czasie ślubu... Wysechł i wynędzniał prześladowany tyle lat... spotyka ją wszędzie, nie śmie z domu ruszyć nogą. — Czasem jakby na umyślnie zniknie ażeby go ośmielić do pokazania się na świecie... ale zaledwie wyjdzie, spotyka ją na swej drodze, wszędzie z groźbą i śmiechem... Pod oknami jego domu krąży nocami... słyszy jej głos za ogrodem... czeka nań w lesie... czyha na gościńcach...

W milczeniu słuchała z załamanemi rękami nieznama tego opowiadania.... Gdyby nie zmrok, mógłby był proboszcz dojrzeć jej źrenice już z łez obeschłe... i pałające ogniem dzikim... Zdawała się dzielić i rozumieć te uczucia siostry...

— Ona jest obłąkaną, mówił proboszcz. gdy go nie widzi; ale odzyskuje przytomność zobaczywszy nieprzyjaciela... Z niezmierną bystrością umie go śledzić, z przebiegłością prześladowuje... złamała mu życie.

— A on? — odezwała się nagle wybuchając kobieta — nie zasłużył, że on na to .. ten człowiek bez serca i sumienia... A! ojcie — nie budź we mnie zastygłych uczuć—znajdą się one też same co w niej. choć je czas i oddalenie przysypały popiołami — brzydzę się tym człowiekiem, nienawidzę go...

— A odpuść nam nasze winy jako i my je odpuszczamy naszym winowajcom — przerwał spokojnie proboszcz. Bogu zostawcie sąd i zemstę... Człowiek ten odpokutował za grzechy.

Nigdy dosyć! nie! on nie mógł pokutować, bo w tem sercu skruchy nie było... Ja go znam z tamtych czasów młodości, znam go z innych i późniejszych rozgłosu — i dziwuję się tylko jednej rzeczy, że się dotąd wahał pozbyć tak swojej ofiary, jak, jak...

Nie domówiła słów ostatnich.

Ksiądz rękę podniósł do góry i nakazał milczenie.

— Bóg mu daje czas do skruchy i pokuty...

— To potwór nie człowiek! — odezwiała się kobieta namiętnie. Tyle lat upłynęło od nieszczęść naszych, zmieniło się wszystko... ja sama poznać siebie nie mogę — on zmienić się nie mógł — ten człowiek nigdy nie miał serca...

Proboszcz znowu nakazał milczenie.

Mrok padał, kobieta poruszona wstała... zbliżyła się do ucałowania ręki staruszka...

— Ojciec — zawołała — on tu jest — ja nie chcę go spotkać...

— Nie lękaj się — wyjdę do wikarego i zatrzymam go. Bóg z tobą... Bóg z wami... Idź w pokój...

To mówiąc otworzył drzwi, wyrzwał do sieni i stojąc na straży wypuścił przeleklą kobietę, która do furtki, oglądając się po za siebie pobiegła, i nie odetchnęła aż zobaczywszy służącego, który tu czekał na nią.

Proboszcz tym czasem wytrzymawszy chwilę, zapukał do drzwi wikaryusza... a sam pośpieszył do swego pokoju, i siadł w krzesło, ręką zbolałą z trudnością ocierając pot z czoła... W progu ukazał się średnich lat mężczyzna. wyłysiały... którego ubranie oznajmowało zamożnego obywatela...

Typ to był do opisania trudny... Stary kawaler, który jeszcze resztki młodości utrzymać pragnął, natura silna a straszna życiem i zmęczona. Twarz pięknych i regularnych rysów, odrażała wyrazem dziwnym egoizmu, fałszu i przewrotności; — w niespokojnych oczach widać było jakby nieustanną obawę, a usta naprzekór im starały się grać obojętność i pustą wesołość; — z budowy niegdyś atletycznej został tylko skielet olbrzymi, obciążony skórą i wyschły... Mieszkała w nim jednak siła; i mięśnie rąk wydane, kark jakby opleciony niemi, kazały się domyślać niewyczerpanego jeszcze żywotności zapasu... Ruchy miał zręczne acz wymuszone, niby młodzieńcze i żywe, choć tak one jak wszystko w nim napiętnowane było rozmysłem, fałszem i rachubą.

Resztki włosów około łysiny i zarost można było posądzać o farbę, chociaż ta, zręcznie jakoś użyta, nie raziała. Cały ubiór wielce wykwiniony. młodszym był od tego, który go nosił. Przystałby dwudziestoletniemu elegancikowi, śmiesznym niemal wydawał się na starym kawalerze. Gruby łańcuch złoty u zegarka, pierścienie na palcach. laska z gałką wyślaczoną, maleńki kapelusik słomkowy z wstążką czarną, dopełniały stroju. Nie miłe czynił wrażenie pan Skórski, choć wdzięczny się wielce, i do proboszcza zbliżył się z taką wymuszoną grzecznością, uniżonością, pokorą, iżby go za najczulszą w świecie istotę wziąć było można, toby go nie znał.

Staruszek widać znał go dawno i dobrze, bo zimno przyjął i na powitanie natarczywe, odpowiedział ruchem ręki wskazując obok stojące krzesło, które przed chwilą zajmowała nieznajoma.

Stary kawaler usiadł, pochylając się ku proboszczowi.

— Mój Boże, — zawołał — a jegomość dobrodziej zawsze widzę cierpiący... Na te reumatyzmy niema jak wody. Do Karlsbadu. do Toeplitz lub Trenczyna.

— Gdzie mi się tam włóczyć na starość! — odparł proboszcz.

— Przytem i lato a słońce pomaga wiele, byle ciepła nadeszły.

Rozśmiał się w tem pan Skórski, i zmienił rozmowę.

— A dla tego ojciec dobrodziej wieczorkami sam na sam jakieś wędrujące jejmoście przyjmuje...

Nieszczególny ten żarcik nie zasługiwał na odpowiedź, ksiądz zmilczał.

— Cóż to pana do nas sprowadziło? — odezwał się po chwili—boć to waćpan nie częstym gościem tutaj... i w kościele go widzę rzadko...

Skórski się obejrzał i z krzesłem przysunął.

— Ojcie dobrodzieju, — szepnął, — znasz najlepiej moje nieszczęśliwe położenie... ja dla tej baby przekłętej, waryatki, nosa z domu wytknąć nie mogę. Pod strachem Bożym kiedy niekiedy wyjadę i to... ot jak dziś... o mało biedy nie napytałem...

Proboszcz milczał długo.

— Uderz się w piersi, — rzekł w ostatku, — a powiedz czyś nie zasłużył na to?

— A! dalipan nie gorszy byłem i jestem od drugich, — zawołał głosem zawsze stłumionym pan Skórski. — Za grzechy młodości, i to tam takie głupstwo, całe życie pokutować... Słowo daję, to za wiele. Cóż

to? może się jednemu trafiło?... Młodość, krewkość... zwyczajne...

Na nieszczęście bardzo to są zwyczajne sprawy. — odezwał się staruszek, — a jednak inaczej się one przedstawiają niż w tym wypadku... Przypomnij sobie waćpan, co masz na sumieniu... Serce czasem pociągnie człowieka, Bóg słabość przebaczy, ale rozpusty... trudno.

— Albom to ja, — oburzając począł gość, — rozpustniejszy był niż inni?

— Dajmy temu pokój... rachuj się sobie z sumieniem, — rzekł stary, — to nie moja rzecz.

— Właśnie żem miał czas tu rachunek robić i prze-rabiać, a winy tak wielkiej w sobie nie znajduję, za jaką niełitościwie karany jestem... I dziś tu w rynku, cudem tylko uniknąłem awantury, ta czarownica, pijaczka znowu się zjawiła. Nareszcie mi ten wieczny postrach obrzydł, nie mogę już wytrzymać dłużej. Każę ją zamknąć, zapłacę co zechcę. Jawna i oczewista waryatka. Może to być, aby się jej dano włóczyć po gościńcach, i ludzi spokojnych napadać? Ja życia godziny nie jestem pewny. Byłbym się razy nie wiem wiele mógł ożenić... Szatan ten albo mi zawsze potrafił przeszkodzić, albo mnie strachem odegnał od ołtarza. Raz się to przecież skończyć musi. Dosyć już tego.

Poruszony wstał pan Skórski. i począł przechadzać się po pokoju. Książdz patrzył nań nie mówiąc słowa.

— Zapłacę za utrzymanie, za podróż, niech ją wezmą i zamkną...

— I tem uspokoisz sumienie? — spytał proboszcz.



— Moje sumienie spokojne! ja nic na sumieniu nie mam! — odwracając się przerwał Skórski, — odpokutowałem z nawiązką!!

Zburzony był widocznie, ale wkrótce się miarkować zaczął.

— Właśnie, — rzekł łagodnie. — przyszedłem światłej rady ojca dobrodzieja zasięgnąć. i prosić o jego opiekę o doświadczenie. że to niewyleczona waryatka... Zaświadczą mi to też wszyscy...

— Mój panie Michale, — przerwał proboszcz łagodnie, — ja bym ci tego nie życzył. Jeszcze raz mówię uderz się w piersi, pokutę straszną prawda i długą odbywasz. aleś zawinił. Dla ciebie świat otwarty... a tu w sąsiedztwie i tak ci nie bardzo wygodnie.

— Z kraju się oddalić nie mogę, — chmurno rzekł Skórski, — nie chcę, a u nas gdziebykolwiek się przeniósł, jestem pewny, że mnie znajdzie. Jakim sposobem. jakim cudem ten szatan tropy moje śledzi. to przechodzi pojęcie... Probowałem przecie... ale już tego dosyć... — zawołał rozpaczliwie stary kawaler, — życie całe zmarnowałem. Starzeję... męczę się... muszę temu koniec położyć.

— Jedną tylko uwagę mógłbym wam uczynić, — odpowiedział staruszek. Ta kobieta wprawdzie ma chwilę szału. ale gdy chce. umie być spokojną i przytomną. Jeżeli ją oddacie pod klucz. a kraty wyłamać nie potrafi, mogłoby co innego nastąpić. Mogłaby wyśpiewać co niepotrzebnego i pociągnięto by was do odpowiedzialności... Przepraszam, że to co ona plecie są bajki, ale mogą się do nich niechętni ludzie przyczepić.



Ta uwaga oddziałała dziwnie na Skórskiego, skrzywiły mu się usta, potarł czoło, westchnął.

— Radzi się sumienia, — dokończył.

— To piekło istne! piekło! — zgrzytając zębami mruknął Skórski, — niema wyjścia z tego. chyba śmierć. Już mi życie obrzydło.

Organista wchodzący z kluczami, przerwał tę rozmowę, i Skórski pochodziwszy po pokoju, wdział zwolna rękawiczki, zapiał surdut, a nie mówiąc już nic, zbliżył się z pożegnaniem do proboszcza, który go tak chłodno się pozbył, jak przywitał.

Wyszedł zadumany z probostwa na rynek, z którego już ostatnie wozy odjeżdżały. wioząc śpiewających i podochoconych parobczaków i gospodynie. troskliwie piastujące garnki kupione i sita.

Z niektórych karczem odzywały się jeszcze głosy biesiadujących, a dzwon kościelny cichym dźwiękiem, powolnym wołał na Anioł Pański. Na niebie kilka bladych gwiazdek mrugało...

---

Noc była wiosenna jeszcze, od dnia piękniejsza kwiaty na nią zachowały wszystkie wonie swoje — dzikie ptastwo śpiewało w łożach i błotach nad rzeczką, tysiącem głosów sprzecznych, które w dziwną harmonią pieśni się splatały. Słowiki już próbowały

swych trylów... życie zdawało się mieszkać w całej tej rozbudzającej się naturze. Szeleściło w gałęziach drzew obwieszonych gniazdami.. roilo się pod stopami, pełne go było powietrze, woda, ziemia. A choć już noc zapadła i ludzie powinni byli spocząć, ludzkie się rozmarzone pieśni rozlegały w okolicy, wśród tententu koni i wozów powracających z jarmarku. Któż nie zna tej nuty ludowej, co nawet gdy wesolą być pragnie, smutną być musi? Z łona nocy i półprzezroczystych ciemnocie wiosennego jej zmroku, dobywał się czasem taki śpiew daleki, tęskny, smętny, łzawy i konał z wiatru lekkim szumem, który przeleciawszy po gałęziach jak duchów orszak niewidzialny, rozbijał się gdzieś w powietrznych szlakach. Na niebiosach nie było księżyca, lecz się iskrzyły gwiazdami, żadna chmurka zabłąkana nie bielala na czerniałych lazurach. Czasami tylko ognik się zapalał na krancach nieba, łańcuchem złotym spadł po sklepieniu — i gasł gdzieś za górami i lasami...

W miasteczku wszystkie okna gospód i chat czerwonymi blaski gorzały, mało kto zasnął wcześniej... gwarzył jeszcze jarmark wszędzie.

Przed wrotami gospody w końcu miasteczka stał pan Skórski, jakby wyczekując ciemności. Palił cygaro, puszczając dym wielkimi kłębami, to znowu dając zagasnąć w zamyśleniu. Koń jego czekał osiodłany. lubił bowiem jeździć sam, może dla tego, aby ludzi napaści, których się zawsze spodziewał, nie czyścić świadkami. Godzina zdawała mu się właściwą, poszedł więc po swego siwka do stajni i dosiadłszy go zręcznie, stępią wyjechał po woli z gospody.

Koń znający dobrze drogę do domu, sam go prowadził. Był to wierzchowiec do pana swego i jego przejażdżek nawykły, rzadkiej zmysłności, nóg pewnych, na którego siły i rozum zupełnie się spnieć było można. Bywał tylko czasami nieco pierzchliwy, ale Skórski siedział jak wkuty, a skoku choćby najostrzejszego wcale się nie lękał. Ciągnął więc tak ulicą miasteczka, wśród której siwy się doskonale, wiosenne wymijając kałuże, kierował. Za ostatniemi domami zaczynała się grobelka przez błota, osadzona wierzbami, na której połowie stał młynek warczący już zdaleka. Wprawo i lewo pokrzywione i poobcinane, pogieęte i ponachylane stały owe wierzby stare, poczarne, które po nocy podobne były do jakichś karłów i cieniów dziwacznych. Wyobraźnia mogła z nich łatwo tworzyć zjawiska nocne... i koń też uszami strzygł a chrapał, mijając je ostrożnie, jakby się w każdej z nich jakiegoś obawiał widma...

Skórski klepał go po szyi nawykły do podobnych oznak humoru, zwłaszcza w nocy. Przez mostek na grobelce przejechał szczęśliwie, i minawszy zawady, a wydostawszy się w pole, koniowi cugle puścił wolniej. Droga wiodła ku lasom przez piaszczyste role mieszczan, wijąc się fantastycznie. Gdzie niegdzie czarny krzyż stary obwieszony płachtami, schylał się nad drożyną, to nastrzępiony krzak dzikiej róży z rowu wyglądał; i znowu siwy chrapał, a boczył się i nastawiał groźnie.

Skórski znajdował go tego dnia nad wszelki zwyczaj niespokojnym, i przypisywał to długiemu stajni w stajni, wśród jarmarcznych gwarów.

Za polami czerniały lasy, których część przebywać było potrzeba, ażeby się dostać do Broniczej. Tu gościńiec wybity był szeroko, wozami wsi okolicznych; ale do koła jego, w prawo i lewo, objazdżki mnogie porobione czasu błota i grzęzawicy, stały koniowi do wyboru. Siwy znał się też z nimi doskonale, i kierował się instynktem, który wśród ciemniejszej już w lecie nocy, wielce był potrzebnym. Piaszczysty gościńiec zostawiwszy w lewo, koń i jeździec puscili się dróżyzną wśród gąszczu z leszczynu, kaliny i młodych dąbczaków złożonej. Las szumiał z cicha nad ich głowami gałęzmi sosen, dębów, osiczyzny i brzozy. Zmieszana woń sosen i rozpękających liści, przepelniała powietrze... Tu wiatr, który się niekiedy dał czuć na błoniach, nie dochodził wcale; szarą ciszą ogarnięty bór drzemał... i ptactwa w nim nawet słyszeć nie było.

Cichość ta i ciemność przykre robiły wrażenie na podróżnym... Niekiedy sucha gałąź spadająca gdzieś w gęstwinie zaszeleściła, a koń i jeździec drgali niewytłumaczoną trwogą. Skórski rad był siwego namówić do prędszego chodu. lecz koń uparty chrapał i szedł powoli, ciągle strzyżąc uszami i głowę niosąc do góry. Na gościńcu, który o tej godzinie mógł jeszcze być ożywionym powracającymi z miasteczka, nikogo słyszeć nie było. Tego się niespodziewał Skórski, i cisza leśna coraz przykrzejszą mu się stawała. Szczęściem las nie potrzebował nad dobre pół godziny stępią do przebycia.

W połowie jego mała polanka na rozstaju, z krzyżem starym, dzieliła młodsze zarośla od dębiny, rzadko na niziinach rozrzuconej.

Zbliżał się ku niej Skórski i. chcą ją przebyć kłusem. ściągnął koniowi cugle, gdy nagle uczył się pochwyconym za nogę, i ujrzał przed sobą dziwną jakąś postać, która ręką drugą konia za uzdę porwała... W mgnieniu oka podniósł szpicrut, chcąc nim uderzyć napastnika, gdy siwy spał się, rzucił, a Skórski, którego suknię silna dłoń ciągnęła, obalony został na ziemię.

Koń parsknął, strząsnął się i w czwał, swobodny, pobiegł do domu... Tentent jego chwilę tylko słyszeć było.

Padając jeździec, nderzył się głową o pień starego dębu. błysnęło mu w oczach i zdoławszy ledwie słaby krzyk wydać — utracił przytomność... — Jakby echem, powtórzył się krzyk ten drugim głosem stojącej obok postaci, która ze śmiechem okrutnym rzuciła się ku leżącemu na ziemię.

W ciemności, machinalnie ręka napastnika szukała gardła leżącej na ziemi ofiary, drżąca suwała się po głowie i palcami ucisnęła szyję... Milczenie Skórskiego i martwość leżącego na ziemi ciała. wstrzymała nagle zabójcę. Ciemno było wśród zarośli dokoła. Napastnik ukląkł przy leżącym, pochylił się, przyłożył ucho do ust jego. z których tylko chrapliwy oddech go doszedł, i wstrzymał się od łatwego dobiecia. Jeszcze raz starał się dosłyszeć oddychanie, ręką powiódł po głowie... z której ciepła krew się sączyła... Uczuwszy ją na dłoni... wstał nagle wstrząsając ze wstrętem, jakby chciał pozbyć się jej co prędzej.

Z sukni począł szybko dobywać coś. aby ogień i światło zrobić — ale wśród powyrzucanych szmat nie znalazły się zapalki. W tej chwili głosy powra-

cających z targu ludzi słyszeć się dały niedaleko. Napastnik zawołał:

— Bywaj! bywaj tu! trup leży! trup!!

Przestraszeni wieśniacy zrazu umilkli, krzyk się powtórzył; śmielszych dwu przedarło się przez krzaki, ale nic dojrzeć nie mogli. Jeden z nich dopiero o krok przypadłszy do stojącego widma — zawołał:

— A to Cześniakówna...

— Ja sama... Róża — Różyczka! do usług! — odpowiedziała kobieta jakimś głosem pomieszanym... A no tn leży trup! trup!... a z głowy mu płynie czerwona krew, krew... Ognia zróbcie, ognia... Trzeba go dobić, żeby się biedaczysko nie męczyło...

Wieśniacy dojrzelili leżącego z głową o pień rozbity Skórskiego. Jeden pochyliwszy się, krzyknął poznawszy go...

— A to Skórski z Brończej? cóż mu się stało?..

— He? — odparła zimno kobieta, ocierając wciąż rękę o trawę — jechał sobie na koniku pan. pan... a po ciemku jechać niebezpieczno.. konik bryknął, panicz spadł i stłókł sobie główkę... Oj biedota!...

I śmiała się dziko.

Wieśniacy tymczasem co prędzej ogień niecić starali się, i jednemu z nich nakoniec się udało zapalić kupkę suchych gałęzi, i przeszłorocznych liści.

Płomyk wybijający się z gęstego dymu, który powłókł się ku leżącemu na ziemi, oświecił dziwną tę scenę nocną. Pod omszonym pniem starego dębu leżał wyciągnięty Skórski, z głową zwieszoną na piersi, z której krew jeszcze się lała... twarz miał bladą i usta wykrzywione — konwulsyjnie zaciśnięte dłonie jakby do obrony od nieprzyjaciela były przygotowane... Tuż

przy nim stała Cześnikówna z powiewającą resztką łatoci w rozrzuconych włosach, na pół chustką nową osłonioną, z wyrazem dzikim radości jakiegś i szalu na twarzy.

Skórski żył jeszcze, ale potrzebował co najrychlejszego ratunku. Wieśniacy zaraz się wzięli do podzwignięcia go, związania głowy, zatamowania krwi i ocucenia z omdlenia. Nie odzyskał jednak przytomności.

Cześnikówna patrzyła ciekawie zdaleka, milcząco; nagle ujęła obu rękami za suknię, podniosła głowę i gdy go złożono nieopodal na trawie, — ruszyła się do swego tańca ze śpiewem. Wieśniacy ani śmieli, ani mogli ją odpędzić. Biegła w koło leżącego coraz żywiej, coraz śpiewając głośniej... i straciwszy wreszcie siły, padła na kolana klaszcząc w dłonie.

Zajrzała w bladą twarz leżącego. pokazując mu pięści.

— A co, kochanie! a co? skończyło się! Przyszła kryska na Matyska... Leży kawaler na trawie, na trawie, a z głowy życie płynie — płynie... a różyczka nad nim siedzi i nie płacze... śmieje się! śmieje! klaszcze w dłonie... Skończyło się wszystko, skończyło.. kochanie. zdradzanie, wesele i smutek... Zimny leży pan na ziemi chłodnej... a tu wiosna rozkwita. wejdzie jutro słoneczko, oświeci wykopaną mogiłę... Skończyło się, skończyło — jakby życia nie było...

Zawodziła tak pół mówiąc, pół niby śpiewając; aż nagle umilkła. wyciągnęła rękę do ciała, ściśniętą pięścią uderzyła w pierś i serce. Ludzie odepchnąć ją chcieli, porwała się na nogi i stanęła zdala.



— Precz hołota! to mój trup! to mój kochanek... słyszycie. Ja tu nad nim pani... ja! — Dół mu wykopię sama, ściągnę go i położę i zasypię, i zaśpię wam nad głową.— Dobranoc! dobranoc! Dygnęła...

Włościanie z zabobonnym strachem przysłuchiwali się tej mowie, której połowy pochwycić ani zrozumieć nie mogli. Trzeba było coś radzić, gdyż Skórski żył i oddychał. Nieopodal stał wóz, szczególnym trafem należący do wójta z Brończy, umyślił więc włożyć go nań i wieść powoli do dworu. Lecz gdy ciało podnosili, Cześnikówna rzuciła się ku nim, jakby im odebrać chciała; musiano ją odepchnąć...

Pogroziwszy ludziom, opamiętała się, że przeciw nim jedna nieda sobie rady — i gdy Skórskiego podniesiono, poszła o kilka kroków za nimi. Nie mówiła już nic... Złożono omdlałego na wozie. Cześnikówna stanęła obok, ruszyły zwolna konie, poczęła iść za niemi. Żaden z włościan nie śmiał obłąkanej odebrać.

Dopiero gdy z lasu wyjeżdżać mieli, Cześnikówna zatrzymała się, stanęła i rozśmiała. Rękę przyłożyła do ust, posyłając od nich całus ku wozowi.

— Bądź mi zdrów! kochanie moje... kochanie... Jak we dzwony zadzwonią i trumnę poprowadzą, znajdę się ja za nią... paciółek ci zmówię taki jakiegoś wart i nie zejść z mogiły. nie zejść. — Będę na niej dzień i noc siedziała... wierna twoja kochanka... aż i mnie obok ciebie pogrzebią... albo głodne psy zjedzą... Skończyło się... dobra noc!... Skończyło...

I znikła biegnąc w las, a śmiech jej tylko dziki



długo jeszcze w uszach przerażonych włóścian się rozlegał.

Nazajutrz rano przybiegł posłaniec do miasteczka na probostwo. Staruszek pacierze odmawiał, siedząc w krześle skulony.

— A zkąd?

— Z Brończej.

— Z czem...

— Z biedą, dobrodzieju! westchnął chłopak. Wczoraj pan nocą powracając z miasteczka, miał wypadek... Koń go zrzucił i o dąb rozbił głowę; przywieźli tam doktora, ledwie trochę odzyskał przytomności... chce się spowiadać.

— Co? jak? — porywając się z krzesła, zawołał proboszcz — wczoraj! on! co tak dobrze jeździł.

— I koń, proszę dobrodzieja, taki co go znał, co się nigdy nie utknął... To niepojęta rzecz. Gdzie jemu było z konia padać! Dopust Boży!

Usłyszawszy ten wyraz bezmyślnie powiedziany, staruszek się zadumał.

— Poproście mi wikarego — a ja sam do niego jechać muszę, co będzie to będzie.

A tuż i ks. wikary coś zasłyszawszy wpadł niewołany.

-- Co ja się dowiaduję... Pan Skórski.

— Mój dobry księże Felicjanie, każ mi bryczkę wysłać — jadę tam...

— Jakim sposobem... Jegomość nie możesz?

— Ale muszę... westchnął staruszek... idzie o duszę człowieka — cóż w porównaniu z nią nędzne moje ciało... Każcie mi wysłać bryczkę... pojadę.

Ze staruszkciem w takich razach nie było można się sprzeczać, był uparty gdy co postanowił. Kazał się więc organiście i chłopcu podsadzić i pół leżąc. pół siedząc pojechał do Bronieży.

Przed dworem zawołano sługi aby proboszcza drogą złamanego zniesli. — W ganku ledwie jako nogi wyprostowawszy, poszedł. modlitewkę szepcząc. do sypialni.

Skórski z głową obwiązaną i obłożoną leżał na pościeli, podnieść się nie mógł, bo natychmiast porывały go nudności, znak utrząśnięcia mózgu. Z oczów widać było gorączkę. Leczą owładывała nim tylko chwilami — wśród niej przychodziły błyski przytomności. Przy nim siedział stary doktor trzymając go za puls.... gdy ksiądz wszedł, powstał na palcach

— Mój ojcie. rzekł kłaniając się. nie wiem czy tu na teraz możecie mu być pomocni, przytomność przychodzi niekiedy ale i odchodzi też prędko. Męczyć mu się nie można. Spoczynek najpotrzebniejszy.

— Cóż mu jest?

— Fraszka że głowa szkaradnie rozbita, — szepnął lekarz, gorzej że mózg silnie wstrząśnięty uderzeniem... Jeśli z tego wyjdzie, będzie to wielkiem szczęściem...

Gdy tak rozmawiali. w pośrodku wielkiego pokoju pocichu, Skórski oczy otworzył, spostrzegł księdza, i coś zaczął prędko mówić a niewyraźnie — ręką niecierpliwie wskazując krzesło przy sobie.. Proboszcz siadł przy nim.

Naówczas chory, ruchem do zrozumienia łatwym, począł prosić doktora by odszedł. Zostali sami. Staruszek nie śmiał pytać.

Skórski przechylił się ku niemu.

— Wiecie, mruknął — kobieta — zemsta — zemsta... ona to... ona.

Ksiądz pomyślał że majaczy.

— Daj już tam pokój tej kobiecie... myśl o swej duszy...

— Ściągnęła mnie z konia — to ona! nie wierzycie? tak jest...

Proboszcz zmilczał...

— Ten szatan pokoju mi nie dawał. aż mi życie wziął... Trzeba być o tem wiedzieli...

— To się wam śni — przerwał proboszcz — spocznijcie, odejdzie to... wytrzymacie chorobę, lecz sumienie uspokoić nigdy nie jest zawczasie. Gorączkowemi oczyma spojrzał na kapłana Skórski i rozśmiał się — śmiech ten w jego położeniu, w takim momencie miał w sobie coś przerażającego. Zdawało się że przytomność go odchodziła. Podparł się na łokciu...

— Było ich dwie—obie jak malinki śliczne. Djabeł skusił... dziewczęta jak malowane, a wesołe, a trzpioty... no! i cóż znowu tak wielkiego?... Grzech powszedni... miałem lat może dwadzieścia... alebym był wyposażył i wydał, — i wszystkoby się zaspokoilo jak należy...

A no — Cześnikówny! — szlachcianki! Życiem trzeba płacić za te przysmaki. Cha! cha! Śliczneż bo były, cacka malowane... ząbki perłowe, usta malinowe...

— Dałbyś pokój! surowo przerwał ksiądz — co ci się tam marzy... dosyć tego!

Skórski jakby się zamyslił — potem śpiewać zaczął półgłosem...

Kochanie moje, kochanie...

Czegoś tak smutna i blada?

Oczyrna potoczył ku drzwiom i wskazał ręką na nie.

— Widzisz... stoi tam... szatan ten... ręką ściśniętą mi grozi i śmieje się... dłoń ma we krwi mojej zmazaną. Jeszcze jej nie dosyć... niech się napije... dajcie jej krwi. Precz z nią... wysmagać i wygnać. to pijaczka i waryatka? kto ją tu wpuscił! precz! won!!...

Nikogo nie było, proboszcz pochwyił go za ręce i, choć słaby, zmusił do położenia się na poduszkę, nadbiegł doktor... Ledwie im dwu udało się go ukłósać; oczy się zamknęły, zdrzymywał się, ale z ust jeszcze wyrwały się jakieś wyrazy niezrozumiałe...

Proboszcz widział nareszcie, że tu nie prędko pomoc jego potrzebną być może... chciał się podnieść z krzesła i odejść po cichu, gdy odwracając głowę ku oknu, postrzegł przestraszyć mogące i zdrowego człowieka zjawisko.

Do szyby dolnej przylepioną zdawała się rozplaszczona twarz starej kobiety, pomarszczona, wynędzniona. skrzywiona, z dwojgiem oczów czarnych rozognionych straszliwie, sypiących iskry... Po nad głowę tą ręką ściśniętą konwulsyjnie chwyciła ramę okna aby się utrzymać. Znać było że się wdrapała na podmurowanie... W chwili gdy proboszcz chciał ją nakazującym ruchem ręki odpędzić precz, szyba naciśnięta z brzękiem pękła w kawałki, i straszliwe to, potworne widmo, głowę wychyliło na pokój — choć kawałami szkła do krwi rozerzło się szyję...

— A co? zdechł pies? nie ma psa? dobrodzieju? zdechł? poczęła wołać głośno waryatka.

Uśpiony już Skórski porwał się jak iskrą jakąś wyrwany ze snu, spojrzał, krzyknął i padł bez przytomności.

Śmiech rozległ się od okna — i głowa kobiety znikła...

Doktor załamawszy ręce krzątał się około chorego. Proboszcz natychmiast wysłał ludzi do ogrodu aby precz odpędzili kobietę, ale, mimo najściślejzego poszukiwania, nigdzie jej znaleźć nie było można...

Zabobonna czeladź gotowa była utrzymywać, że się to tym panom przywidziało, ale stłuczona szyba świadczyła, iż Cześnikówna się tu w istocie dostała i potrafiła, ze zrzęczością właściwą sobie, zbiedz od pogoni lub skryć się gdzieś w kącie taki, gdzie jej nikt szukać nie mógł.

Przez cały ten dzień nie było najmniejszej nadziei utrzymania przy życiu p. Michała... Proboszcz pozostał przy nim, chcąc pochwycić chwilę przytomną i przejednanego z Bogiem na wielką podróż odprawić... Postawiono wszędzie strażę do koła, ażeby Cześnikówna docisnąć się znów do domu nie mogła...

Późno w noc spokojniejszy sen, obudził słabą nadzieję ocalenia. Lekarz go nie odstępował. ksiądz się modlił... Nazajutrz silna jeszcze natura przemogła, bo to innego może byłoby nieochybnie o śmierć przypawiło. Lekarz po raz pierwszy powiedział, że ma choć słabą nadzieję uratowania chorego... Ale dui kilka nie powracała przytomność i podnieść się nie mógł wcale... Staruszek uspokojony powrócił na probostwo...

W miesiąc później dowiedział się, iż Skórski niewiedomo dokąd, jak się zdawało, na dłuższy czas

wyjechał. W miasteczku też nie pokazała się już wcale Cześniówna, a że i po lasach jej nie spotkano, ktoś wieść rozpuścił, że się utopiła...

---

W historyi salonów warszawskich, których sama klasyfikacya nie małą dla ich dziejopisa przedstawiałyby trudność, nie zapisano wcale jednego z najoryginalniejszych w owych czasach. Uległ on temu łatwemu zapomnieniu, któremu nległy ruiny dawnych grodów, zasypana Pompeja i przez długie wieki zakryte katakumby... Są ludzie i salony, które tak przechodzą jak kwiaty;.. opadną z nich listki zabarwione na ziemię, noga przechodnia z błotem je pomięsza, łodyga zeschnie sieroca — wóu rozniosą wiatry i wszystko na wieki skończone...

Salon pani Salomei był swego czasu bardzo świetny. Gospodyni. nie młoda już wdowa. jak się zdawało majątna, chociaż ani źródeł jej dochodów, ani ich doniosłości nikt nieznał—miała wszystkie przymioty jakich do funkeyi tej trudnej wymagać można. Była dowcipną, czytana, lubiła sztuki. bawiła się namiętnie muzyką, obchodziło ją wszelkie nowe zjawisko—

miała wiele pobłażania dla ludzi i wyrozumiałości dla ich błędów—nie gardziła żadnym żywiołem, który jej salon mógł chwilowo podnieść i uczynić pociągającym. chętnie służyła zakochanym i broniła do ostatka oskarżonych—o małe wykolejenia na smutnej drodze żywota. .

Nawet powierzchowność pani Salomei, którą w kołach znajomych zwano pułkownikową, choć nieboszczyka jej męża równie nikt nie znał, jak majątku—nadawała się doskonale na panią takiego salonu.—Wiek jej był zagadką, była jeszcze ładną. już nie bardzo młodą, pełną wdzięku, troszeczkę zalotną, choć nikt, nic, nigdy zarzucić jej nie mógł. Niektórzy dawali jej lat trzydzieści kilka, drudzy o dziesięć więcej. Miała tę szczególną fizyognomiją i humor że wcale nie starzała. Być może, iż rzadko pokazując się we dnie, wieczorami umiająca obrachować efekty światła. resztki piękności tak doskonale zachować potrafiła...

Salon pani Salomei nie znajdował się w jednym z głównych ognisk miasta, gdzieby obszerniejsze mieszkanie bardzo drogo opłacać potrzeba; — zajmowała dom przy niewielkiej uliczce. ale urządzony pięknie. A że od wielu lat w nim mieszkała — gospodarz zgodził się chętnie na to. by sobie lokal podług swej fantazyi ubrała. Było to więc skromne zarazem i poważne i piękne, a nadewszystko w dobrym bardzo smaku. Było w modzie mieć wolny wstęp do salonu pani pułkownikowej, która przyjmowała dwa razy na tydzień. w Niedzielę i Środy. Oprócz tego mniejsze kółka zbierały się u niej niemal codziennie, gdyż wieczorami, prawie zawsze siedziała w domu.



Wszystko co mogło do rozmowy pobudzić, nastręczyć przedmiot do rozrywki—zająć przyjemnie gości—obficie tu było nagromadzone. W większym salonie stał nietylko doskonały Pleyel ale i organek Aleksandra. W drugim był bilard wielki i mały. Na stołach leżały wszystkie dzienniki krajowe i zagraniczne znaczniejsze. mnóstwo albumów. . Była szachownica dla miłośników tej gry. i jeden stolik do kart dla starych, choć pani Salomea otwarcie się przeciw nim odzywała. Gabinet dla nałogowych tytoniarzy, opatrzony był w dobre cygara...

Herbaty i wieczerze choć skromne, doskonałe były i starannie przygotowane. Zimą panowało w pokojach ciepło miłe, latem chłodek przyjemny. Nie dziw więc, że żaden może salon tak uczęszczanym nie był jak pani Salomei.

Oprócz jakiejś pani do towarzystwa, która wcale się do niczego nie mieszała, i rządziła tylko herbatą i wieczerzą,—nie miała pułkownikowa nikogo zaważającego przy sobie. — Nigdy nie zjawiali się tu ani natrętni krewni, ani kuzynowie z prowincyi, owe dysonanse i nuty fałszywe, które gdzieindziej psuć zwykły harmonią dobrze dobranego towarzystwa.

Jeden jeszcze urok pociągał ku salonowi temu, mającemu już i tak wiele wdzięku i dogodności dla dostojnych tych próżniaków, co wieczorami nie wiedząc co zrobić z sobą. Nadzwyczaj wiele małżeństw kojarzyło się pod osłoną. opieką i niewidzialną a jednak skuteczną pomocą pułkownikowej. Tu wystawiano panny na wydaniu na widok publiczny, tu się zjawiały nieszczęśliwe wdowy po zrzuceniu grubej żałoby, tu przychodzili kawalerowie tęskniący do złotego jarzma.



wdowcy usiłujący choć późno zrobić głupstwo, a nawet rozwódki i rozwiedzeni, istoty najnieszczęśliwsze, bo odstręczające od siebie wspomnieniami przeszłość.

Pani pułkownikowa nigdy w życiu nikogo nie swatała, nigdy się nie wdawała czynnie w sprawy serc i temperamentów — zdawała się obojętnym widzem — a jednak miała jak mówiono takie szczęście, że gdy się kim zaopiekowała tylko współczuciem, poprowadziła go szczęśliwie do ołtarza. Było w tem coś nieodgadnionego, cudownego; jakiś fatalizm czy szczęście.

Ktokolwiek podówczas na dłuższy czas zamieszkać chciał w Warszawie, tak samo jak wpisywać się musiał do resursy, tak też i prezentował się u pułkownikowej. Ona sama też dbała o to aby jej nie uchybiono...

Ani też dziwić się można, że pan Michał Skórski zjechawszy na stałe mieszkanie do stolicy, nająwszy ładne piętérko, urządzone po kawalersku, odnowiwszy swą garderobę u Chabou, porobiwszy znajomości nowe z pomocą starych odświeżonych — musiał się w końcu kazać przedstawić pani Salomei.

Obrządku tego w jedną piękną środę jesienną dopełnić miał dawny towarzysz szkolny, kolega ze służby cywilnej. pan radca Fazyński; — bo w Warszawie mało kto nie jest, nie był i nie może być jakimś radcą... Radca Fazyński był jednym z prawdziwych i dobrego gatunku; urzędnik od lat młodych, przyrosły do tutejszego bruku i pilnie zajęty swojemi obowiązkami biurowemi we dnie, wieczorami rozrywał się w resursach, teatrze i na wieczorkach. Swobodny,

wdowiec bezdzietny, pan Fazyński niczem nie był krępowany; żył jak chciał — a chciał żyć tak aby uniknąć wszelkich zawikłań, kłopotów, przeszkód i t. p. Miał za правило do niczego się nie mięszać, od nikogo nic nie żądać i nigdy się nie unosić...

Skórski odwiedził go przybywszy. Radca go naprzód wybadał wielostronnie, czy nie miał jakich kolców, dziwactw, pretensyj, procesu, zaległości do odzyskiwania, potrzeby protekcji i t. p. a przekonawszy się, że żadnym z tych defektów dotknięty nie był, chętnie mu podał rękę...

Miał gotowego wista u niego i doskonałą herbatę w dnie niezajęte innemi rozrywkami. On sam wniósł iż powinien się zaprezentować pani Salomei, opisał mu dom, wskazał spływające z nczęszczania doń korzyści i — namówił łatwo...

— Chociaż trochę na starego kawalera wyglądasz, rzekł — ale możesz się jeszcze rozpatrzywszy ożenić. — Tu do wyboru znajdziesz co zechcesz...

— Ja chcę już pozostać wdowcem, mam bratanków jako spadkobierców, a komplikować sobie ekzystencji drugi raz — ochoty już nie mam. Zęby mi powypadały... gdzie się już żenić...

Skórski oświadczył się z gorącą chęcią zrobienia znajomości z pułkownikową. Jednej tedy srody ubrawszy się starannie, i wyglądając wcale przyzwolicie, Skórski towarzyszył przyjacielowi na pokoje pani Salomei.

Przyjęcie się tu rozpoczynało o ósmej, lecz z lepszym tonem było przybyć około dziewiątej. Tak też uczynili.

Osób zastali już kilkanaście. Piękna gospodyni której nadzwyczaj do twarzy było w sukni czarnej. przywitała radcę nader wdzięcznym uśmiechem, a na Skórskiego rzuciwszy okiem znawczyni. posadziła go przy sobie, grzeczną z nim wstępną rozpoczynając rozmowę — Był to egzamin wstępny. Piękna pani umiała — bawiać gościa, badać go niepostrzeżenie. W kilku zręcznych zwrotach dowiedziała się zaraz. że miał majątek w okolicach nadleśnych, że nie był żonaty, że dla braku zajęcia jakiś czas chciał mieszkać w Warszawie... Sposobami sobie tylko wiadomemi, wypróbowała nieco charakter, ukształcenie. serce, humor — i znalazła, że Skórski nie będąc salonu ozdobą, może w nim być wcale pożytecznym sprzętem..

Udało jej się zręcznie wśród tego egzaminu zaprezentować go kilku osobom. a gdy nadeszli nowi goście. mogła już własnym siłom zostawić p. Skórskiego... Nie był to człowiek salonowy, znać na nim było długie zadawnienie, rodzaj rdzy, która pada na odwykłych od towarzystwa — ale miał sobie przypomnieć swój dawny pobyt na świecie, i choć formy miał nieco przestarzałe — nie raził w salonie. Czyniło go to oryginalnym.

Panna Olimpia. osoba lat trzydziestu i kilku, niegdyś bardzo piękna, dziwnym składem okoliczności przywiedła w stanie dziewiczym, rozpoczęła była zajmującą rozmowę z panem Michałem o Hrubieszowskich, Chełmskich i Lubelskich stronach. gdzie miała krewnych i znajomych. — gdy w salonie ruch jakiś dał się uczuć, gospodyni wstała z kanapy, mężczyźni się rozstąpili i kobieta średnich lat. nosząca na twarzy ślady niezwyklej piękności. majestatycznej i zręcznej

postawy, ubrana niezmiernie wykwintnie — ukazała się idąc od progu...

Oczy pana Skórskiego skierowały się ku niej machinalnie; w tejże chwili jakimś wypadkiem wchodząca spojrzała w tę stronę i spotkała się z jego wzrokiem... Skórski, który miał odpowiedzieć pannie Olimpii, z ustami otwartymi skamieniał... Bładość pokryła twarz jego, rzucił się w krzesło jakby chciał uciec, i nim zdołał opanować się i do spokoju wrócić, postrzegli wszyscy, iż drżał i zmięszał się — jakby na widok widma lub przerażającej mary.

Kobieta wchodząca zatrzymała się na mgnienie oka, zbladła także, lecz znać nawykła do panowania nad sobą, umiała wytłumaczyć ruch niby zaplątaną suknię, którą poprawiła. — i choć twarz jej nieco była zmieniona, nie oglądając się już na nikogo, zasiadła dosyć swobodnie przy gospodyni...

Miejsce które zajęła tak blizkie Skórskiego, iż słyszał szelest grubej, jedwabnej sukni przy siadaniu. Panna Olimpia z nadzwyczajną ciekawością wpatrywała się w niego, siedziała nie śmiejąc oczu podnieść... zdretniały... Odpowiedź — którą został dłużnym, razem z pytaniem zapomnianą znać została. Powtórzyła ją uaprawdę panna Olimpia, Skórski nie słyszał... Rozbudził się dopiero po chwili uczuł potrzebę wytłumaczenia się tem, że przed kilką miesiącami miał straszny przypadek, że spadł z konia — i od tego czasu cierpi gwałtowne bóle, które nagle przychodzą i przechodzą.

Czy panna Olimpia zadowolniła się tem, nie wiemy; to pewna, że go już więcej nie zabawiała roz-

nową i po chwili wysunęła się a Skórski także wstał i w tłum się wmięszając co prędzej...

Przybyła pani prowadziła rozmowę z gospodynią, co nie przeszkadzało jej razy kilka rzucić okiem po salonie, jakby szukała znikłego Skórskiego. Zwolna lekki rumieniec na twarz jej powrócił. i niktby się nie był domyślił, że ją ten człowiek mógł obchodzić.

Skórski tymczasem cofnął się pod opiekę radcy, który stał jakoś osamotniony. tylko co dokończywszy pobieżnej rozmowy z panią Cymińską. wdową. którą go prześladowano. Osoba była nie młoda, otyła. nie ładna ale majątna. Ludzie pletli, że się koniecznie za radcę. dla tytułu, wydać chciała.

Skórski przystąpił do niego. ujął pod rękę i poprowadził do okna

— Mój radco — rzekł głosem w którym jakieś wzruszenie czuć było — kto jest ta pani, która teraz weszła, siedząca obok gospodyni na kanapie.

Radca przyłożył szkiełko do oka.

— Ta w koronkach, z wstążką pąsową we włosach — zapytał.

— Tak jest... tak; drżąc odpisał Skórski.

— A to pani generałowa Hochwarth...

— Generałowa?...

— Tak jest; mąż jej służył podobno w wojsku pruskiem — wiem; potem na wschodzie...

— Niema go tu?...

— Nie postrzegam, odpisał radca.

— Któż to jest? — dodał Skórski.

— Mówiłem ci, generałowa Hochwarth.

— A z domu? — zapytał przybyły.

— No, nie wiem. mógłbym odpowiedzieć jak Rzewuski, dodał śmiejąc się — bo nawet nie wiem czy z domu, czy z kąd wyszła... i nikt tego nie wie.

Ruszył ramionami.—Bardzo piękna kobieta była i jest nawet... ale smutna jakaś. pognębiona; zdaje się nieszczęśliwą i ludzie odgadują, że pożycie z mężem nie osobliwsze być musi. Hochwarth jest dziki człowiek. gbur i choć go z wielu przymiotów chwala, w towarzystwie nieznośny...

Gdzież, tu czy gdzieindziej się z nią ożenił? zaczął Skórski.

Któż to może wiedzieć — odezwał się radca — Widzę że cię szczególnym sposobem zainteresowała... Daj pokój... nie myśl wcale o przybliżeniu się nawet do niej, mówią że wcale nie jest przystępną. Musi się męża obawiać...

I począł się śmiać radca, posadziwszy towarzysza, że na nim czarne, smutne oczy jenerałowej uczyniły wrażenie.

— To zagadka pono i to małżeństwo, kobieta i mąż... mówił dalej. — Ja tego rodzaju zadań towarzyskich rozwiązywać nie lubię; lecz jeśli tyś się co więcej chciał dowiedzieć, chodź, dam ci tu kogoś co wie wszystko, nawet to czego niema i nie było. Mój przyjaciel Pacierzyński...

— Ale ja ani pytać chcę, ani z moją ciekawością wydawać! zawołał broniąc się Skórski — proszę cię....

— No, to chodź, a ja go będę pytał dla ciebie. nie skompromituje cię słuchanie.

Właśnie daleko stali od Pacierzyńskiego, którego radca zapoznał z przyjacielem.



— Mój prezesie, odezwał się — (Pacierzyński kiedyś raz w czemś prezydował, tytuł mu pozostał), — mój prezesie, ty co wszystko wiesz, gdybyś też mi powiedział z kąd się tu wzięła generałowa ta... i kto ona z domu...

Pacierzyński, mały, zwinny, zaschły człowieczy-na, w niedostrzeżonej peruczce, artystycznie przytwierdzonej do głowy. począł odpowiedź od śmiechu.

— Rozumiem, rzekł — chcesz może mię zawstydzic tem, że nic nie wiem. Wiesz że toby mnie bolało,... że jestem ciekawy, że choruję na przenikliwość... he? nieprawdaż.

— Wszystko to być może.

— I chcesz mnie przed obcym upokorzyć — wszak tak?...

— Przypuśćmy! rzekł radca — jestem ciekawy i daję ci do rozwiązania zadanie.

Pacierzyński poglądził się po brodzie.

— Wiesz co — odparł, — kilka lat widuję generałową po salonach, spotykam ją często... ciekawość moja do najwyższego stopnia jest rozbudzoną, używałem wszelkich środków dla dobadania się czegoś — wiem, muszę wyznać, mało... ale coś wiem...

Skórski pobladł słuchając.

— Jest rzeczą prawie pewną, że generałowa występowała wprzód na jakimś teatrze. Nadzwyczajna jej piękność skusiła generała. Jest rodziców szlacheckich. ale z rodziny ubogiej... Zdaje się też, że w młodych latach ciężkie jakieś przeżyła próby, czemu uwierzyć łatwo, zważywszy jej nadzwyczajną pięknosć. Otóż widzisz dokończył Pacierzyński, że nie jestem tak znowu nieświadomy jak sądziłeś. Gdybym

po tej nitce chciał dochodzić, gdyby mi o to chodziło, dobadalbym się może i więcej...

— Wiedz, odezwał się radca, wskazując Pacierzyńskiego — to niebezpieczny człowiek. Żaden sędzia śledczy nie ma większego talentu do przeświadowania na wylot wskazanej ofiary. Pacierzyński ci z czoła czyta...

Skórski niezmiernie się jakoś zmieszał, choć chciał udawać wesołego; oczy jego mimowolnie błędząc po salonie, z przerażeniem się wstrzymywały, jak przykute, na jenerałowej. Ciasno mu było i duszno i radby był uciec co prędzej... Szczęściem, że i pani Hochwarth podejrzliwie nikt nie śledził tego wieczora, byłby bowiem dostrzegł w niej niezwyčajnego poruszenia — niepokoju, gniewu niemal, który napróżno ukryć się starała. W pół godziny potem zaczęła się skarżyć na silny ból głowy, gospodyni wyprowadziła ją do swego gabinetu i powróciła już sama... Jenerałowa odjechała do domu.

Skórski wolniej odetchnął, gdy się przekonał, że jej już nie było. Mało kto zresztą dostrzegł nawet oddalenie to, gdyż zagadkowa ta postać nie wiele osób obchodziła. Radca tylko począł się wyśmiewać z przyjaciela, iż na pół zwiędła twarzyczka mogła go zająć tak bardzo...

Ponieważ oddalać się wcześniej nie wypadało, bo gospodyni tego nie lubiła, — poszli więc z kilku innymi panami do gabinetu na cygara... Wyborne. suche Havanny stały na stoliczku, a kronika miejscowa przypisywała ich doskonałość temu, iż sama gospodyni, ale w wielkim sekrecie — miała podobno wo-



nią ich się napawać. To pewna, że na białych jej jeszcze ząbkach, nie było śladu tej ekscentryczności.

Pacierzyński, Radca, Skórski i dwóch młodzieńców wielkich nadziei, z których jeden już cały majątek stracił (co go mogło do pracy napędzić), drugi nigdy nic nie miał nad długi -- składali towarzystwo. Pacierzyński był w werwie. i nikomu nie dał przyjść do słowa.

— Pytaliście się o generałową, rzekł — a czemu nie o generała... tuby dopiero było co opowiadać! He! bo tego znam i całe jego curriculum vitae od dzieciństwa umiem na palcach. Ojciec był jakimś urzędnikiem za rządów pruskich szczęśliwych, gdy bruki Warszawy trawa porastała. Ożenił się tu z polką, i syn pół po polsku, pół po niemiecku został wychowany. Mówią, że te Hochewarty to goła jakas szlachta nadreńska, potomkowie Raubritterów.... W charakterze generała coś z tego zostało, bo to djabeł nie człowiek. Dumny, zarozumiały. fantastyk i ma coś w charakterze odstręczającego. dzikiego... Służył w wojsku pruskim, bił się gdzieś na wschodzie, podróżował po całym świecie, powiadają że pojedynków miał mnóstwo, a — po cichu nawet twierdzą, że były gorsze niż one wypadki... że generał wcale się nie wahał sprzątać ludzi gdy mu zawadzali. Jednem słowem awanturnik.. ale człowiek ciekawy bardzo. Zna Indye i Chiny, bywał w Afryce. czytał wiele, opowiada z wielkim zapałem, chociaż żadnym językiem nie mówi dobrze. bo mu się wszystkie pomieszały. Bądź co bądź, choćby żonę kochał, bo mówią że namiętnie do niej jest przywiązany — nieszczęśliwa to

być musi kobieta. Zazdrośny jak Otello... To też ona oczów na nikogo podnieść nie śmie...

A no, cóż! — odezwał się Pacierzyński. nie odmalowałem wam go dobrze?

— Nikt ci tego talentu nie zaprzecza. przerwał radca — ale o generałowej — przyznaj się nie wiele wiesz... Wszystko oparte na domysłach...

Prezes ręką machnął.

A no! a no! przyjdzie może do tego że się i o niej dowiem więcej. Przyzuam się że znowu tak bardzo mnie ona nie zajmuje; kilka razy zbliżyć się do niej miałem zręczność. O ile jeszcze dziś piękna i ponętna, o tyle zimna, odpychająca, dumna dla wszystkich... nie wiem czyście się przypatrzyli jej wzrokowi? W jej wejrzeniu jest coś przerażającego, strasznego, jakby chęć zemsty i pragnienie krwi.

Radca się rozśmiał — Romanse!

— Śmiej się! śmiej! — mówił Pacierzyński — po mnie dreszcze chodzą, gdy na nią spojrzę, więcej ci powiem: — jest coś obłąkanego w jej wzroku.

Skórski rzucił się na krzesło; spojrzano na niego. udał że się tylko poprawił na niem.

— Gdy mówi o czym — kończył prezes, nie umie inaczej jak z goryczą... z ironią. Pani Salomea, która jest samą dobrocią i łagodnością, powtórzyła mi razy kilka, że czasem krótka z nią rozmowa strachem ją przejmuje. Powtarzam wyrazy pułkownikowej — powiadała mi że ta kobieta, musiała wycierpieć nadzwyczaj wiele... jest w niej coś niewyleczonego, zbolełego, co przeraża... Wzrok niekiedy miewa jakby nieprzytomny... Jedno tylko ją rozczula i roznamię-

tnia, to widok dzieci... ale to się tem tłumaczy, że ich nie miała pono i nie ma.

Skórski zerwał się nagle z krzesła i począł chodzić po pokoju, cygaro mu za pretekst posłużyło. Radca zauważał, że go już to opowiadanie zajmować przestało, że patrzył gdzieindziej i był jakby roztrągniony. Pacierzyńskiego jednak, gdy raz puścił wodze sobie nie łatwo było powstrzymać.

Skórski był struty. — Napróżno starano się gościa czemś zabawić; wrócili do salonu, mówił mało, nie podobał sobie w towarzystwie, choć tego wieczora było jak rzadko dobranem... Młody poeta deklamował wiersz, przez siebie ukuty; młody pianista o mało niepodróżgotał fortepianu, za co go oklaskami okryto; jedna z pań śpiewała arię z Normy bardzo miłym głosem. — a jednakże Skórski się nudził. i rychło zniknął z horyzontu. Radca zawyrokował, że na wsi ludzie dziczeją.

---

Gdyby kto nazajutrz z rana, po mszy rannej u dominikanów, stanął był u kruchty i przypatrywał się wychodzącym z kościoła, byłby mimowolnym świadkiem sceny, którą tylko ubodzy, naówczas tu

zgrupowaniu, widzieli... dobrze jej nie mogąc zrozumieć.

Wówczas gdy się prymarya odprawiała, weszła, niesmiałym krokiem, do przedsionka kobieta niemłoda, której twarz zarówno jak ubiór, choć poszarpany, świadczyły, iż nie była na żebraczkę urodzoną. Rysy jej niegdyś piękne i szlachetnego wyrazu, czarne oczy ogniste, zacięte usta, choć nędza je powykrzywiała i napiętnowała — zachowały coś z dawnej piękności, jakby przysypanej grniami. Odzież była poszarpana, lecz niegdyś kosztowniejsza niż zwykle łachmany żebracze... Ogromną chustką, jeszcze nową ale zbłoconą i zszarzaną, okrywała starannie ten strój, który nawet od zimna przejmującego nie mógł jej uchronić. Na twarzy wzruszenie, obłąkanie, smutek; — dzikie jakieś a gwałtowne uczucia wybijały się z pod przybranej maski obojętności. Kij prosty miała w ręku, pomarszczoną skórą okrytej, małej i pięknego kształtu. Znać obca tu, bojaźliwie się wcisnęła, oglądając do kościoła... padła na kolana w kruchcie, pocałowała podłogę, podniosła ręce do góry, jęknęła i zaczęła się modlić. Była to pierwsza stacya, bo po niej wstała, poszła ku ławkom i tam tak samo klękała, po raz drugi całując ziemię; naostatek dociągnęła się przed wielki ołtarz, i tu się krzyżem układała...

Słychać było płacz jej i głośną modlitwę... Gdy ją potem opuściły siły, poszła pod boczny ołtarz i tam do ściany przyparta, zgarnięta cała dla zimna, drżąc, przesiedziała mszą świętą.

W pierwszej ławce siedziała, na tęż mszą przybyła, generałowa, którą widzieliśmy wczoraj na wieczorze pani Salomei. W początku mszy zaraz wzrok

jej padł na zebraczkę;... zadrżała, przestała się modlić. i już go od niej odwrócić nie mogła. Uboga nie postrzegła zrazu że zwróciła na siebie tak pilną baczność, patrzyła na ołtarz tylko... Zapomniawszy się jednak... znużona, gdy i modlitw jej już do odmawiania nie stało. obłąkanym wzrokiem powiodła po kościele, i postrzegła generałową.

Oczy jej wlepione w nią zaiskrzyły się, wyprostowała się... Oślepiała patrzyła na nią długo, wreszcie jakby omamieniu się broniąc, odwróciła się nagle i znowu gorączkowo modlić zaczęła... Kilka jeszcze razy machinalnie obróciła się ku generałowej... i za każdym razem schylała ku ziemi, jakby karząc siebie za grzeszną ciekawość.

Generałowa siedziała jak wkuta w swej ławce, nie mogąc się ruszyć...

Widocznie między temi dwoma kobietami. stojącymi dziś na ostatnich, przeciwległych sobie krańcach. społecznych stopni — musiał niegdyś być jakiś stosunek — znać się musiały kochać czy nienawidzić — coś je łączyło z sobą. Z wejrzeń nie podobna było poznać, miłość czy nienawiść miały w sercu... obu im paliły się oczy, drżały usta i ręce, obie zdawały się chcieć zbliżyć i wstręt mieć a obawę spotkania... Generałowa nie mogła się ruszyć złamana, żebraczka miotła się usiłując utrzymać w miejscu. choć coś ją pędzić się zdawało ku niej. Kościół się powoli chwilowo wypróżniał... dziadek gasił świece, bractwo miało rozpoczynać różaniec. gdy. przemagając obezwładnienie swe, generałowa wstała, zadrżała niby od dreszczu narzuciła chustkę czarną, i chwiejąc się

a przytrzymując ławek, zwolna, nie oglądając się już, wychodzić zaczęła z kościoła.

Żebraczka wstała też, przeżegnała się i krokiem przyspieszonym z drugiej strony ławek pobiegła, nsiłując w twarz zajrzeć generałowej. Mrok był w kościele, a zasłonka spuszczone na czoło niedozwalała dojrzeć dobrze jej rysów.

Niespokojna aby jej nie uszła, uboga zabiegła drogę, — od wniścia podało trochę światła. Chciwie zaczęła się wpatrywać w idącą, która czując to nie podnosiła oczów... Tak doszły do kruchty, w której kilku tylko siedziało żebraków. Generałowa ręką sięgnęła do kropielnicy po wodę święconą, i w tejże chwili palce żebraczki dotknęły się jej także... ale oczów nie spuszczała z generałowej. Od progu dzienny blask wpadając już w pełni, zbladłą twarz jej oświecał, i pałające nieodgadnionem uczuciem oczy. Mimo różnicy wieku, stanu, wyrazu, dwie te twarze, które los zbliżał wypadkiem, uderzały nadzwyczajnem podobieństwem rodowem. Były to jakby dwa odbicia jednych rysów: wypieszczonych dostatkiem, wyniszczonych nędzą. Generałowa teraz zdawała się wysilać na to aby zwyciężyć siebie samą — i nie podnieść oczów. Odchodziła już od kruchty ku drzwiom, gdy drżąc żebraczki ręka chwyciła jej chustkę.

— Stój, zawołała półgłosem — tyś Natalia... jam cię poznała! tak poznałabym cię w piekle nawet, w którym może obie będziemy! I rozśmiała się dziko...

W tem na bladej, oniemiałej twarzy generałowej która osłabła o słup się oprzeć musiała, spostrzegła dwa strumienie łez, płynące cicho...



Twarz jej zmieniła się nagle, załamała ręce — z oczów zaczerwienionych trysnęły łzy, i rzuciła się ściskając ją za kolana.

— Natalio — nie odpychaj nieszczęśliwej... Natalio — czyż my sobie będziemy obce?

Jenerałowa jeszcze się odezwać nie mogła. Przerażona potoczyła wzrokiem dokoła. nie było nikogo oprócz zdumionych ubogich, przypatrujących się scenie dla nich nie zrozumiałej.

— Chodź za mną! odezwała się półgłosem. tu nie miejsce.

Postąpiła krokiem; żebraczka posłuszna puściła jej suknię, cofnęła się, otarła oczy, ujęła swój kij upadły na ziemię. i zwolna za nią się powlokła. We drzwiach obejrzała się jeszcze generałowa. dając jej znak oczyma aby szła za nią. Biegła prędko zrazu, ale wypadłszy w ulicę, gdy ją owiało powietrze, musiała się wstrzymać trochę, aby go do piersi zciśniętych zaczerpnąć.

Żebraczka stała w pewnem oddaleniu za nią...

Po chwili spoczynku. generałowa, zasłoniwszy twarz zupełnie. otuliwszy się okryciem. skierowała się na Podwale. Kilka razy oglądała się nieznacznie, aby obaczyć czy żebraczka idzie za nią — widziała ją idącą zawsze w tem samem oddaleniu. Tak doszły obie do bramy jednego domu, w której nie było nikogo. U wschodów stanęła generałowa. ledwie się na nogach mogąc utrzymać, i czekała. Żebraczka weszła.

— Rózo — zawołała do niej szybko, zebrawszy się na mężstwo generałowa, stój tu i czekaj aż przyślę po ciebie. Nie mogę przyjąć cię w moim domu... Mąż

mójby cię zobaczył... on nic nie wie — niemogę, tu mieszka przyjaciółka lat dziecinnych... muszę jej powiedzieć, poprosić, oznajmić... przysłę po ciebie... Zatrzymaj się chwilę...

Odwróciła się, wymówiwszy te wyrazy szybko... Zebraczka wysłuchiwała ich niema i padła na pierwszym stopniu, głowę złożywszy na wyższym. znużona i osłabła...

Dzwonek dał się słyszeć na pierwszym piętrze, otwarły się drzwi: — kobieta średnich lat, niegdyś piękna, której płeć zjadły jakieś kosmetyki, żółta, blade, ale twarzy ożywionej i wesołej, ubrana na wpół dziwacznie bardzo, sama wyjrzała i zobaczywszy nadchodzącą, krzyknęła.

— A! to ty! sługi nie mam! wystaw sobie probuję tego nieszczęsnego stroju, który ma być wschodni! Znajdujesz mnie jakby gotującą się na maskaradę... Gdy to mówiła, mała, może dwunastoletnia, dziewczeczka, jak anioł śliczna, z rozpuszczonemi włosami blond na białe ramiona, z okrzykiem przypadła do Natalii.

Pokój, którego drzwi się otwarły, przedstawiał obraz dziwnego nieładu. Po krzesłach i kanapach leżały różnokolorowe jakieś części ubrania... Na stole mnóstwo rysunków i książek. Wśród nich na drewnianej głowie przepyszna peruka upudrowana, zdawała się do włożenia przygotowaną.

Kobieta, która drzwi otwarła, z wesołą twarzą uśmiechem i szczebiotaniem, dziewczę, które z radością wybiegło naprzeciw generałowej, na widok jej twarzy — stanęły osłupiałe i przełękłe. Zmienioną była, jak trup bladą i oczy miała obłąkane.



— Moja najdroższa — zawołała szybko — ratuj mnie... potrzebuję z tobą dwa słowa pomówić sam na sam... Prędkiej! — ginę!

Gospodyni gwałtownie pochwyciła, całując, dziewczkę i popchnęła ją do drugiego pokoju. drzwi zamykając za nią; a sama przypadła z załamanemi rękoma do generałowej.

— Co ci jest! ten przeklęty mąż znowu!

— A, nie! dola moja! odparła kobieta, padając na krzesło i głowę kładąc na stole — dola mnie przesładuje! przeszłość mnie goni. Droga moja, zlituj się, pozwól... ja muszę tu u ciebie widzieć się i pomówić — z siostrą. Zobaczysz ją! to widmo straszne! tę żebraczkę na pół może pijaną; — załamała ręce.

— Gdzież ona jest? gdzie?

— Czeka u wschodów...

Gospodyni, nie pytając już o nic więcej, narzuciła ogromny płaszcz na siebie i zbiegła coprédzej.

Na widok odartej żebraczki, na pół leżącej na wschodach — stanęła — męztwo ją odstąpiło. Cześnikówna podniosła głowę słysząc nadchodzącą, i zaczęła szukać upuszczonego kija.

— Chodź pani za mną! zawołała głosem zmienionym gospodyni.

— A śliczna mi pani! rozśmiała się uspokojona już na chwilę żebraczka, opamiętywając się gdzie była... Dajże mi jejmość rękę... bo nogi jak połamane...

Mimo wstępu wyciągnęła rękę gospodyni, a żebraczka poczęła się ciągnąć zwolna, trzymając poręcz. Tak się dowlokłszy do drzwi Róża postawiła swój kij w sieniach, owinęła się chustką i zwolna

wsunęła, oczyma wodząc po pokoju. Zobaczywszy generałową. stanęła naprzeciw niej w milczeniu.

Gospodyni łatwo było się domyśleć, że przytomność jej była tu zupełnie zbyteczną; spojrzała na przyjaciółkę, skinęła. wskazując że będzie obok, i wyszła.

We drzwiach już litość ją wzięła nad nieszczęśliwą, której podsunęła krzesło. zrzuciwszy z niego strój jakiś.

— Siadaj pani — rzekła.

— Co! ja? na krzeselku? a tobym wam obrzydziła je na wieki — odparła, śmiejąc się gorzko, kobieta. Stać nie ustoję, ale siąść nie siądę — chyba na podłodze.

Obejrzała się wkoło, zsunęła powoli na ziemię i westchnęła, sparlszy na łokciu.

Zostały sam na sam z generałową, która mierzyła siostrę oczyma długo, aby rozpoznać. czy była przytomną.

Ślady odbiegłego szału widoczne były wprawdzie na zwiędłej twarzy żebraczki. lecz w tej chwili patrzyła spokojniej, i nic nie zdradzało obłąkania. Z czerwoności pijacej na licu zostały tylko dwie wypalone plamy ceglaste. Usta popękane zbladłe, drżały chorobliwie.

Dwie siostry mierzyły się oczyma.

Siedząca na ziemi poczyniała się uśmiechać.

— Ot tak — zawołała. uderzając się ręką po odartej odzieży — rodzone — jedne losy, jedne winy. a sprawiedliwość dla nas nie jedna! Ja w łachmanach. ty w koronkach... ha! ha! a pies nie zdechl?

— Wiesz — dodała — myślałam żeś już z nim skończyła. W nocy ściągnęłam go z konia pod dę-

bem, rozbił sobie czerep o pień, krew ciekła, umoczyłam w niej rękę. czuję ją do tej pory... Sądziłam, że szatan weźmie duszę, która mu się należy, ale i on jej nie zechciał. Żyje, a ja się i tu musiałam przywlec za nim.

Zamilkła, patrząc znowu na płaczącą generałową.

— Rózo, odezwała się nareszcie, ocierając łzy — widzisz mnie i zdaje ci się żem szczęśliwą! Nie wiesz com przeżyła, nie wiesz jak żyję, drzę przed tym, który mnie podniósł z ziemi... codziennymi łzami opłacam koronki swoje..

— Tośmy obie nieszczęśliwe — krzyknęła żebraczka, a ten łotr co nam obu wziął szczęście, życie zламаł, chodzi swobodny, bezkarny... i naigrawa się nę-dzy naszej...

— Gdzie twoje dziecko? zawołała po chwili — gdzie ono...

Generałowa zakryła oczy...

— Ja nie mam dziecka!..

— Zabił je? podchwyciła żebraczka; a cóż mu tam było jednym trupem mieć na sumieniu...

— Ja nie mam dziecka! powtórzyła, płacząc, kobieta; o nie mów, nie wspominaj mi o tem.. miej litość nademną...

Zamilkły obie. — Żebraczka bezmyślnie palcami darła podłogę. Podniosła oczy.

— Ja się mściłam całe życie — rzekła — ale co ja mogę? czemu ty mocniejsza nademnie nie pomścisz się na nim za mnie i za siebie?... Przecież twój mąż: — bo masz męża... musi znać przeszłość twoją... Każ mu go zabić... zabić!..

Natalia podniosła głowę nagle.

— O, gdybym słowo rzekła — odezwała się — nie przebaczyłby!! nie zniósłby tego aby z moją tajemnicą w piersi chodził kto po świecie.

Zamyśliła się, brwi marszcząc dziko.

— Uczyni to — krzyknęła żebraczka — ja ci wszystko przebaczę...

— Któraż ma z nas przebaczyć? — przerwała generałowa — ja czy ty? Która z nas winna... Nie odebrałam ci jego serca, bo on nigdy nie miał go, bo dać nie mógł... Zbójca — zdradził nas obie.

— Gdybym go zobaczyła na marach — jakby sama do siebie poczęła mówić żebraczka — powróciłabym do lasu, wlaźła w dębowe dziupło, przysypała się suchymi liśćmi i zasnęła... Umrzeć mi nawet nie daje!!...

— A mnie żyć! — wybuchnęła, wstając, generałowa. — Słuchaj, Rózo — nie mówmy o tem — dosyć — nie chcę byś się tak włóczyła... Zalewasz się i pośmiewiskiem jesteś dla ludzi...

— A no? wielka pani moja — rozśmiała się z ziemi żebraczka — cóż ty mi dasz? pałac? cztery konie? sługi? wór pieniędzy? Dobraś ty! Myślisz że po całego życia włóczędze z cyganami i złodziejami, usiadziałabym na poduszkach, w okienku z różańcem w ręku! Ale!... mnie w izbie duszno... ja wódkę pić muszę... Pali we wnętrznościach, gdy jej nie mam. — Wolalbym nie jeść... Jak się spiję, to mi szczęśliwe czasy śnią się, i śpiewam, i skaczę, i jestem różyczką różową, z wianeczkiem na głowie... a tak... tom nędzna... w łachmanach. — Spuściła głowę. — Co ty mi poradzisz? Nic — bo to przeznaczone! Tobie koronki ze łzami,

mnie łachmany ze śmiechem. Diabeł-że wie, które gorsze...

Popatrzyła na siostrę, a potem w długiem stojącym zwierciadle na siebie, i poczęła włosy zeszlą ręką przyglądać...

— Byłyśmy niegdyś podobne do siebie — a teraz jak wiecheć do strusiego pióra... Jaka ty jeszcze młoda, a jaka ze mnie diablica straszna... A nom się nahulała po świecie...

Pokiwała głową.

— A ty? — pytała.

— Jam się męczyła tylko! — odparła cicho generałowa...

— Aleś rozum miała... Ja mój wrzuciłam do studni. Kat mi po nim, aby mnie nieustannie swędził; — nie było już czego szczedzić... to się żyło... aby prędeż do końca... O nieraz, jak w głowie zaszumiało błyskawicami i wszystko się popłatało, myślałam: będzie koniec... już się też nie zbudzę. Chłodny ranek bólem wyrwał ze snu i trzeba było iść dalej; a męczyć się znówu...

— Dokończ-że życia inaczej — odezwała się z lirością Natalia — choć ukradkiem od męża znajdę grosz na twoje utrzymanie. Spocznij — ty się na nim nie pomścisz... zostaw to mnie...

— Dosyć by mnie widział, że za nim chodzę w tych łachmanach — przerwała Róża — to dosyć... Przywlekłam się tu za nim.. będę mu stać u progu, wypędzę go ztąd...

— Nie — zawołała Natalia — niech zostanie — na mnie kolej — daj mi go — ja lepiej potrafię...

Mówiąc to wstała cała drżąc a obie zdawały się jednym uczuciem oddychać.

— Ot tak. to ja Natalkę lubię... rozśmiała się zebraczką, czuję żeśmy rodzone... Już tylko ty dokończ com ja poczęła, a o mnie się nie frasuj. Pójdę w las... albo głód dobije, albo wilcy zjedzą, albo mróz duszę wycisnie...

Potrząsała głową.

— A co powiesz — odezwała się ze smiechem dzi kim — wilcy starych kości nie chcą ogryzać. Razem się z niemi nocą spotkała... Sześciu ich stało... oczy im się świeciły jak węgle... Nie było co robić? wzięłam się w boki i poczęłam śpiewać i tańcować? Patrzyli na mnie oczyma krwawemi patrzyli... potem zawył jeden, drugi i wyjąc w las uciekli... Już się ich teraz nie boję...

Mówiąc otarła usta ręką... obejrzała się do koła, oczyma czegoś szukając...

— Nie jadłam dwa dni. a nie piłam od wczoraj, rzekła cicho — ostatnie trzy grosze poszły juści na wódkę nie na chleb... Chlebały było za mało. a wódki starczyło głodnej na upicie...

Generałowa usłyszawszy to pobiegła do drzwi gospodyni i zapukała do nich. poszeptały z sobą w progu. Róża oczyma chciwemi ścigała wszystkie siostry ruchy. a gdy zobaczyła w jej ręku talerze i chleb... podniosła się nieco...

— Pić! zawołała. na miłosierdzie — wódki!... co mi tam jadło! mnie wnętrzości pali pragnienie. smoły dajcie, byle pić! pić!

Karafka z wodą stała na stoliku, pochwyciła ją generałowa. ale spojrzawszy na nią żebraczka odepchnęła.

— Ale! ale! krzyknęła — to ja i w kałuży znajdę... Umywać się nie będę... a wody bym nie przelknęła... Każ dać wódki...

Siostrze ręce opadły z politowania i zgrozy... nie miała odpowiedzieć.

— Bo ty wielka pani! a ja stara żebraczka... rozśmiała się — nie bój się. nie bój! ja się i kwartą nie upiję, a już pić muszę...

— Nie każże mi na to patrzeć...

Zamilkła Róża wreszcie — rękę wyciągnęła po talerz, spuściła głowę i jadła posłuszna. Trwało to chwilę tylko, odsunęła talerz próżny...

— Różo — odezwała się generałowa — mówmy rozsądnie, posłuchaj mnie. — Dosyć tej włóczęgi — ja ci znajdę co trzeba na życie... W tym domu izbę ci najmie przyjaciółka moja... Siedź, spocznij. . ja opatrzę w co będzie potrzeba... nie zabraknie ci niczego...

Ze spuszczoną ciągle głową, słuchała żebraczka... gdy podniosłszy ją mówić zaczęła, głos miała zupełnie zmieniony — spokojniejszy, ustąpiła gorączka z którą weszła...

— Cóż? zamkniętej chyba umrzeć. — rzekła. i myśłami się własnymi udusić? Cóż ja pocznę z dniami? co pocznę z godzinami?

— Będiesz się modlić.

— Tak—ja się modlę—modlę gorąco, leżę krzyżem. płacząc i jęcząc u ołtarzów, nie pomaga nic — nie słucha



Bóg... Modlitwa idzie do Niego, a od Niego pociecha nie spływa...

— Rózo moja — siostró moja — rozczulona poczęła generałowa — jeśliś mnie kochała kiedy — zaklinam cię, usłuchaj... daj się uratować!...

— A tak! tak! kochałyśmy się kiedyś—póki on nas nie pokochał obu, aby nas obie zwieść—od tego czasu tylko nienawiść została...

— Jam jej nie miała w sercu.

— Ja jej nie mam już — odparła Róża — Bóg z tobą! Gdyby jeszcze ten pies zdechł...

Generałowa dała jej znak aby zamilkła.

— Cicho — rzekła — teraz kolej na mnie; zobaczmy.

I nie czekając odpowiedzi zebraczki. wyszła do drugiego pokoju. Róża układała się na ziemi, podsunęła rękę pod głowę i usnęła natychmiast, długiem znużeniem złamana...

W drugim pokoju nie było nikogo. W trzecim dopiero siedziała z książką w ręku, skromnie ubrana ta sama kobieta, która drzwi otworzyła wchodzącej generałowej. Przy jej kolanach stała dziewczeczka, z rozpuszczonymi włosami. ręce wyciągając ku wchodzącej i śmiejąc się do niej z radością dziecięcą.

Generałowa pocałowała ją w główkę.

— Lizko moja — rzekła — idź... zabaw się — ja z twoją mamą muszę cós pomówić długo... Nie wchodź tylko do pierwszego pokoju... tam leży kobieta... której przeszkadzać nie trzeba ..

Dziecię doskonale zrozumiawszy, rzuciło się jeszcze raz na szyję generałowej i pobiegło. Dwie przyjaciółki zostały same. Ta którąśmy przed

godziną widzieli na pół ubraną. wdziała już skromną suknię czarną i wydawała się w niej lepiej, choć twarz zmęczona, oczy wpadłe głęboko. znamiona ciężkiej pracy i przebolewałych godzin. nadawały jej coś prawie męczeńskiego. Weselość i rezygnacya kontrastem podniosły ten wyraz utajonej boleści życia.

Generalowa. która lży miała na oczach, uściskiem dziecka wyciśnięte, otarła je prędko. pochwyciła dłoń jej i ściskając, zawołała głosem stłumionym:

— Daruj mi, przyjaciółko, towarzyszek, siostrę moją, jeśli mi cię tak nazwać wolno — scenę dzisiejszą. Rachując na serce twe, pod dach się twój schroniłam z niedolą moją... Znasz mnie od lat wielu, od tych dni, gdyśmy razem młodą nędzę na tych deskach teatru spędziły, z których tyś dotąd nie zesłała... A! i dobrze uczyniła! Jam na innym teatrze i własnego życia gram tragedią! Widziałas tę żebraczkę — to siostra moja — siostra rodzona, siostra upadła aż na dno najgłębszej kałuży. Ja ją ratować muszę! Pomóż mi! Ty masz serce ludzkie, niewieście — tyś dobra...

— A! z duszy serca! — przerwała gwałtownie i ze łzami w głosie artystka — zrobię co każesz! Choćbym ją za własną moję siostrę nawet podawać miała — cóż mnie to zaszkodzić może — nic nie mam do stracenia. a zyszcze dobry uczynek... Rozkazuj. droga moja...

— Dam co potrzeba na to... zaopiekuj się nią... naj-  
miej dla niej izdebkę — odziej. nakarm... zapobież, jeśli podobna...

Tu rumieniec okrył jej twarz.

— Ona pije! ona się zabija! i szaleje pijana! — dodała ciszej.

Zamilkły obie, patrząc na siebie przerażone..

— Jakże mogła upaść tak nisko! — zapytała aktorka.

— Spytaj dlaczego i jak ja także nie upadłam z nią na równi — mówiła generałowa — nigdy ci się nie spowiadałam z losów naszych ... Ten sam człowiek, który złamał życie moje. zabił ją także... jeden los spotkał nas obie. — Ona żyła i żyje zemstą tylko. na moje teraz dopiero czas nadchodzi...

Artystka. spojrzawszy na przyjaciółkę gdy wymawiała te słowa. zdumiała się zmianą wyrazu jej twarzy. Cos dzikiego i okrutnego nagle te piękne rysy uczyniło strasznymi. Ściągnęły się brwi. zsiniały usta, pobraǳły policzki — oddychała szybko i ciężko.

— Ale dość o tem — zakończyła — winien mi nie tylko rachunek nieszczęść moich, ale i losu dziecięcia... Odpowiedzieć za to musi... Męża użyję... raz w życiu przyda mi się dzikość tego człowieka, od której wycierpiałam tyle.

— Natalio — siostró — chwytając obie jej ręce — podchwyciła aktorka — zaklinam cię — zastanów się, opamiętaj... Cierpiałaś dosyć! Zemstę zostaw Mścicielowi krzywd wszystkich — daruj mu winę.

— Moję — przebaczyłabym — zawołała generałowa... ale ta jasna główka mojego dziewczęcia. które mi odebrał. które znikło... którego się pozbył, które cierpi może za grzechy moje—A! nigdy! nigdy!...

— Tereniu moja — dokończyła — to sprawa obca tobie .. ja ci oddaję siostrę — czyn co możesz... Bóg ci to nagrodi. ja nieskończoną wdzięcznością odpłacę.

Rzuciły się sobie na szyję, płacząc...

— Chodźmy do niej — zawołała Teresa — zostawisz mi ją. Ja dziś od repetycyi jestem wolną, próby nie będzie, mam dzień cały... Na górze są izdebki... Dam sobie rady... dodała wesoło. — My ludzie biedni zmuszeni się ocierać o różne istoty upadłe... umiemy zawiązywać rany i balsamować blizny. Zostaw mi ją... Za grzechy młodości. niech mi się zdaje żem mogła zostać siostrą miłosierdzia! niestety! gdybym kiedy nią istotnie być chciała, odepchnęłyby mnie ze zgrozą święte niewiasty... dowiedziawszy się żem była artystką!! Dawniej były plemiona przeklęte, dziś jeszcze są przeklęte stany...

To mówiąc, otworzyła drzwi pierwszego pokoju... weszły. Na podłodze wyciągnięta spała głęboko znużona kobieta... Nie słyszała ich, nie poczuła. gdy stanęły nad nią.

Generałowa dobyła woreczek i położyła na stole, ścisnęła rękę przyjaciółki i skierowała się ku drzwiom.

Tu czekała ją Lizka, aby uściskiem pożegnać... Dziecię to było wychowanką panny Teresy. a nazywało ją mamą. Ludzie. nawet generałowa. nie wierząc opowiadaniu panny Teresy, posądzali ją o bliższy stosunek z dzieciąciem. które miało być wzięte od Dzieciątka Jezus. Ile razy panna Teresa opowiadała. jak je sobie uprosiła na wychowanie. uśmiechano się nieznacznie. udając tylko że tę bajeczkę za prawdę przyjmowano. Czuła to bardzo dobrze artystka. iż posądzoną być może, ale się przywiązała do dziewczki i niewiele ją to obchodziło.

— Mój Boże! — mawiała, śmiejąc się i całując dziecko — cóż mi to szkodzi, że mnie sobie posą-

dzają. — Byłabym szczęśliwą, żeby to prawdą być mogło! ale i tak, któżby mi ją kochać bronił?

Kochały ją we dwie na wyścigi, bo i generałowa, ile razy ukradkiem przed mężem mogła się wybrać do przyjaciółki, bawiła się Lizką i bałamuciła ją potrosze a psuła nawet bardzo. Dziewczę dobre było, ale rozpuszczone i swawolne...

W kątku sieni zakradłszy się, Lizka przyczajona wpadła, oburącz chwytając za szyję generałową. aby ją wycalować na pożegnanie.

— Nie puszczę cię — wołała — musisz mnie też pocałować z obu stron... bo cię pewnie znowu długo widzieć nie będę... Ale pocóżes taką brudną i brzydką babę tu sprowadziła do nas...

— Bo biedna bardzo...

Dziewczę pomyślało trochę.

— Jabym jej też ze skarbonki grosik dała — ale taka brudna...

Pożegnały się uściskiem. Generałowa z przestachem spojrzała na zegarek i co żywiej pobiegła do domu.

---

P. Michał Skórski urządził się był po kawalersku. lecz jak mówił radca z szykiem. Choć nieco zardzewiał na wsi, miał wiele smaku i dobre tradycje.

Żyjąc w miasteczku — powiadał — chciał życia używać. W planach było porobienie przyjemnych męzkich znajomości, a może nawet i niewieścich. — Był wielkim zawsze wielbicielem płci pięknej, nie dla idealnego jej uroku, lecz szczególnie dla plastycznych wdzięków.

Nie bardzo więc przebierał w towarzystwie, byle było swobodne i wesołe. Od niejakiego wszakże czasu, szczególnie od ostatniej słabości i nieszczęśliwego w lesie przypadku z koniem, mniej już myślał o kobietach i zdawało się, że chciał od nich stronić nawet. Łatwe znajomości i stosunki, dawniej dlań najponętniejsze, nie nęciły wcale — zdawało się, że w lepszym towarzystwie szukać zamyslał już nie rozrywki, lecz stalszych jakichś węzłów któremiby życie bez celu mógł lepiej, niż je zaczął, dokończyć.

To postanowienie wpłynęło też pewnie na przedstawienie się w salonie pułkownikowej, o którego cu-downych skutkach radca mu opowiadał. Zapewniał go, że z tego salonu sześćdziesięcioletni i nieco kulawi ludzie wychodzili najszcześliwiej ożenieni z dziedziczkami wsi i kamienic.

Pierwszy ten jednak wieczór próby wcale nie odpowiedział oczekiwaniom Skórskiego. Wprawdzie począł go od znajomości z panną Olympią, ale tej się naraził, urwawszy rozmowę — do reszty zaś dobiło go spotkanie z generałową, o której losach nie wiedział wcale.

Rozstali się byli przed laty tak, iż raczej mógł się domysleć zupełnego upadku nieszczęśliwej, niż tak świetnego jej losu. Czuł, że w tem sercu zasiana niewiaść nie mogła zamrzeć i wygasnąć: generałowa

teraz szkodzić mu i wywdzięczyć krzywdy swoje, jako kobieta — musiała. O tem nie wątpił bynajmniej. Spojrzenie jej nienawiścią i wzgardą zatrute. ścigało go powracającego do domu. Długi czas do późnej nocy myślał, co ma począć z sobą.

Chciał uciekać naprzód — lecz zdało mu się to ze wszech miar niewłaściwem. Cóżby ludzie powiedzieli i jak mógł im wytłumaczyć nagle zniknięcie objawiwszy wprzód wszem wobec i każdemu z osobna, że przybył na stałe mieszkanie.

Rozumując w ostatku przychodził i do tego przekonania, że jakkolwiek wielkie były winy jego, generałowa powoli przejednać się może z samej obawy, aby o przeszłości jej nie mówił nikomu

Oprócz tego, tu w Warszawie przynajmniej czuł się zupełnie wolnym od prześladowania waryatki, o której śmierci mówiono wprawdzie, ale Skórski jeszcze temu nie dowierzał. Wyjechać zresztą zawsze czas było, gdyby się tu pobyt okazał nieznośnym, a tymczasem należało próbować czy się go urządzić nie uda.

Generałowej mógł unikać — mógł się zbliżyć... czas zresztą musiał wskazać jak postąpić wypadnie. Uspokajając się wedle możliwości, Skórski ukołysał myśli wzburzone, lecz zupełnie spokoju odzyskać nie mógł. Chodził prześladowany widmami przeszłości, nie żeby one sumieniowi jego ciążyły — lecz że się następstw obawiał.

— Fatalizm jakis prawdziwie prześladuje mnie za te dwie głupie dziewczęta, — mówił do siebie. — Jednej ledwie się pozbył, zjawia się druga, której pewny byłem, że nigdy w życiu nie zobaczę — i to jeszcze



w położeniu takim, w jakim anim mógł marzyć ją spotkać. Zawsze z tą przedzej sobie dam rady, niż z szaloną — która mnie o mało życia nie pozbawiła. Mściwe natury obu...

Wzdychał tedy Skórski, niewiele spał, a naza-jutrz. nie spuszczać się na to, co mu opowiadano o generale i o niej samej, poszedł na zwiady ostrożne. Miał tu wiele dawnych znajomych, z którymi poufale mógł mówić o salonie pułkownikowej i rzucić nieznacznie, pomiędzy dwoma pytaniami, coś o Hochwartach... Nie mając nic do czynienia, cały dzień przewędrował po cukierniach i restauracyach, nie spotkawszy jakoś nikogo od któregoby mógł dostać języka... W końcu z nudów pociągnął na teatr.

Grano jakąś komedią tłumaczoną z francuzkiego, której siedząc w swoim krześle słuchał roz-tar-gniony. Gdy lornetką obchodził łoże dokoła — dostrzegł w jednej z nich, nie mogąc się od wzdrygnięcia powstrzymać, generałową sam na sam z mężczyzną, — który jak się łatwo mógł domyśleć, musiał być jej mężem. Nieznacznie zwrócił oczy na postać tę, zresztą godną bliższego przypatrzenia się. — Był to mężczyzna atletycznej postawy. barczysty. ogorzały na brunatno, z wąsami i hiszpanką, z czołem wyłysiałem — we fraku zapiętym na wszystkie guziki. wymalowany orderami i rozmaitemi znaczkami jakienis, trudnemi do wytłumaczenia. Mówiono, że to były orderzy tureckie, egipskie, tunetańskie i rozmaitych tym podobnych państw i państwerek wscho-dnich...

Generał powabnym nie był ani młodym, minę miał rębacza, żołnierza i starego wilka morskiego...

Naprzeciw niego siedząca żona spoglądała nań z obawą jakąś widoczną, ukradkiem, on zdawał się więcej teatrem niż nią zajęty. Kłaniał się też nokoło rozmaitym znajomym, równie ekscentrycznie jak on sam wyglądającym. Jak wczoraj wieczór u pani Salomei, tak i dziś struł się tym widokiem, do tego stopnia, że mimo mistrzowskiej gry Żółkowskiego, wyszedł w pół przedstawienia i schronił się na górkę do Lours'a. Tu z początku niewiele osób zastał; czytał niby gazety, w istocie nie wiedząc ani co miał przed sobą, ani w jakim języku; — po teatrze dopiero młodzież stara i młoda napłynęła szumnie. Znaleźli się znajomi.

Radca także zaszedł wypadkiem — był bowiem w teatrze.

— Cożeś to wyszedł tak prędko? — zapytał — widziałem cię w krzesłach — straciłeś najpiękniejszą sceny nieporównanego Żółkowskiego.

— Duszno było w teatrze — rzekł Skórski, rozbołała mię głowa, musiałem wyjść.

— Mogłeś się dziś właśnie przypatrzeć nietylko tej generałowej, która cię wczoraj tak zajęła, ale i jej małżonkowi... Widziałeś go!

Skórski udał, że nie spostrzegł, — tak mu jakos wypadło.

— Szkoda, — rzekł radca — boć to przecie figura ciekawa. Rozbijał się na morzu nie wiem ile razy, kasały go grzechotniki, miał żółtą gorączkę — pojedynkował się za kilkudziesięciu, nosi gdzieś kulę w boku — a jeszcze taki zdrów i silny, jakby spokojnie całe życie siedział przy piecu.

Są ludzie, co utrzymują, że przyjął był wiarę muzułmańską i trzymał harem na pół z białych na pół z czarnych pań złożony... Uprzykrzyły mu się wreszcie i poprzestał na jednej... ale za to wziął ją z teatru... Kobiety powszechnie się nad jej losem uważają.

Skórski milczał jeszcze słuchając, gdy we drzwiach ukazał się — ów wilk o którym była mowa. Znać żonę wysławszy do domu, sam przynodził się tu rozerwać. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu z ciekawością widoczną, nie mógł się od niej powściągnąć i p. Michał.

Generał wydał mu się tu jeszcze atletyczniejszym niż wprzód i brzydszym daleko niż z daleka. Rysy twarzy miał grube, nos nieforemny, wargi odstające a płeć ciemną rumieniec krwawy jeszcze czynił brnatniejszą. — W tych rysach nieforemnych jednakże było wiele wyrazu siły i przebiegłości zarazem. Można go było posądzać, że rubasznością pokrywał chytróść, z którą się wydać nie chciał.

Generał miał dosyć znajomych. witał się dokoła ze wszystkimi po żołniersku z miną wesołą, chociaż ci którym ten honor czynił, ostrożnie jakoś i nie bardzo poufale go przyjmowali. Znać w nich było jakby pewien wstręt i obawę. Przyszedł wreszcie do radcy, który siedział obok Skórskiego, podał mu rękę; oczyma zdawał się pilnie śledzić P. Michała, skłopotanego wielce i widocznie nie mającego wielkiej ochoty zbliżyć się, ani poznawać z Hochwarthem.

Przypadek to był zapewne, że generał rozpoczynawszy z radcą rozmowę, obejrzał się i przysunąwszy

sobie krzesło do tego stolika, przy którym ci panowie siedzieli, kazał tu przynieść grok żądany.

— Nie cierpię teatru — rzekł — człowiek się dusi w tej atmosferze gorącej, pełnej obrzydliwych wyziewów i przypląca wątpliwą przyjemność widowiska, droższem nad wszystko zdrowiem... Ja muszę zawsze odchorować każdy taki wieczór. ale dla żony trudno tego nie uczynić. — Ją to bawi.

W ciągu kilku podobnych frazesów zamienionych z radcą, Skórski się wcale nie odzywał i siedział nieco na bok usunięty. Po chwili generał spytał po cichu Fazyńskiego o jego towarzysza i dowiedziawszy się kto był, prosił aby go z nim zapoznał. Nie mógł mu tego odmówić radca... Skórski pochwycony niespodzianie tą niemiłą mu wcale znajomością, chciał się uklonić zdala. ale generał podał rękę i ująwszy dłoń jego, ścisnął ją tak serdecznie, iż Skórski o mało nie krzyknął. Siedli potem. Generał był w doskonałym humorze... Począł Skórskiego dopypywać z kąd przybywa. co w mieście robić myśli. jak długo zabawi.

— Prawdziwie, że na to pytanie. jeszcze stanowczobym odpowiedzieć nie umiał, rzekł Skórski — zależy to od tego jak mi w mieście będzie...

— Nie wątpię, że sobie pan upodobaasz pobyt w niem, rzekł generał — bo dla człowieka ucywilizowanego jest tylko dwa sposoby znośnego spędzania tego co się życiem zowie — miasto albo pustynia. spoczynek lub walka. Starzejąc mniej się pragnie walki z krokodylami, węzami, bawołami i indyanami...

Skórski podszywszy się w niebardzo rozmownego człowieka. słuchał i milczał. Pot mu występował na czoło... Zmieszany był bardzo i pocieszał się tem

tylko, że trzymając się zimno, na uboczu, nie będzie w żadnym obowiązku dalszego rozwijania znajomości i stosunków z generałem, oddawania mu wizyty i t. p. Jakby na przekór temu postanowieniu Hochwarth ciągle się ku niemu zwracał z rozmową, był nadzwyczaj nprzejmy i żarcikami podsycał ciężko się wlokącą wymianę myśli. Radca, który się nie dorozumiewał dla czego Skórski nie miał chcieć zawiązać stosunków z tak ciekawą osobistością, zbliżał ich o ile możliwości. Tak męcząc się blisko godzinę przesiadeli razem, słuchając opowiadań awanturnika, często zakrawających na myśliwskie historie nieprawdopodobieństw i przesadę. Naostatek generał wstał, obu podał rękę i pożegnał ich, spojrzawszy na zegarek.

— Otóż masz czegoś sobie życzył, szczęśliwy człowiecze, odezwał się po odejściu generała radca — pragnąłeś poznać tych państwa, sam ci się nastręczył Hochwarth...

— Ale któż ci powiedział, że ja sobie tego życzył?

— Z wczorajszych pytań twych, łatwo się tego było dorozumieć — dokończył radca. Jest to tem osobliwszy wypadek, że generał nie szuka nigdy znajomości, bo jest niemi obarczony.

— Ja mu też ciężarem nie będę — odezwał się pan Michał.

— Ale go powinieneś odwiedzić!

Skórski aż się wstrząsł.—Po co? na co? dosyć mam tego...

Rozeszli się późno do domu.

Następny dzień upływał dosyć nudnie, trzeciego około dwunastej, gdy Skórski miał wychodzić, służący przyszedł oznajmując generała Hochwartha.

P. Michał pobladł. — Cóż było począć? przyjąć musiał, wyszedł nawet naprzeciw niego. Stary żołnierz z wesołą miną wtoczył się rubaszuie witając szlachcica.

— Pierwszy do pana przychodzę, rzekł — ja tu już zasiedziały, pan dopiero przybyły, poczuwam się do obowiązku opiekowania się nim... Już mi się waszmość nie wykręcisz...

Skórski sam nie wiedział jak dziękować, a gość gdyby był chciał nieco nań zwrócić uwagę, musiałby był dostrzedz w jego twarzy takiego przerażenia i pomięszania. jakby go największe dotknęło nieszczęście.

Skórski, ledwie podawszy cygaro, na parę słów się mógł zdobyć. Nie zważał na to generał, sam mówił wiele. śmiał się jakimś śmiechem suchym i przykrym; opatrywał wszystko. zabawił dłużej niż zwykła trwać pierwsza wizyta — jakby się nasycił zadawaną męczarnią, i opuścił Skórskiego natrętnie zapraszając do swojego domu...

Odprowadziwszy go do drzwi przedpokoju. Skórski zaniechał tego dnia wyjść na miasto i padł w fotel, aby się namysleć co miał począć. Położenie stawało się tak przykre i niebezpieczne, iż zrazu nie widział innego wyjścia nad udaną chorobę i ucieczkę. Bił się z myślami długo... wstyd, bądź co bądź, było uchodzić, nie wiedział już zresztą co dalej poczynąć z sobą.. dokąd się udać... Na tych rozważaniach, rachubach

i kombinacyach, upłynęło godzin kilka... Złamany, niemal chory, p. Michał nie miał już ochoty szukać ani obiadu ani rozrywki.... Więcej dla niepoznaki przed sługą, niż z potrzeby, powlókł się do restauracyi. Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Jadł obiad nie wiedząc co mu podają. dotykając ledwie potraw, ogłupiały i nieprzytomny... Ci co go znali, postrzegli łatwo że coś mu się stać musiało — zły humor złożył na ból głowy nieznośny...

Nie mógł z nim pójść już nigdzie, powrócił do domu i sam na sam z sobą wieczór przepędził a część nocy bez snu przewracał się po łóżku przychodziły mu dzikie myśli, samobójcze...

W marzeniach, które były, jak zwykle gdy człowieka trwoga i troska uciska — dalszym ciągiem tego co dręczyło na jawie — przyszło mu dopiero do głowy, ażeby odwiedziny w domu generalstwa nieuniknione, oddać w godzinie gdy ich tam nie będzie. O tej ławo się było dowiedzieć od służącego, zapłaciwszy za fatygę... W ten sposób mogła się przynajmniej odroczyć chwila ciężka do przebycia.

Trzeciego dnia szedł do generała. Chciał z sobą wziąć dla odwagi radcę, ale ten się obowiązkiem urzędu wymówił. Musiał iść sam.

Generał zajmował mieszkanie obszerne i piękne, lecz prawie w końcu Nowego Świata. Z bijącym sercem wszedł Skórski na wschody, zatrzymując się niemal co krok dla nabrania sił. Na drzwiach przybita była blaszka brązowa z napisem bardzo prostym, niezawierającym żadnych tytułów:

v. Hochwarth.



Drżącą ręką chwycił Skórski za dzwonek... Chwila upłynęła, chód się dał słyszeć — służący w liberyi skromnej wyszedł. Na zapytanie o generała. odpowiedziano że go nie było. Uszczęśliwiony, odetchnąwszy swobodniej Skórski, zostawił bilet i uciekł. Zyskiwał przynajmniej na czasie.

Tegoż wieczora znalazł w domu bilecik, zapraszający go jutro na — obiad. Grzeczność była wielka — ale zabijająca. Położyć się w łóżko zdawało się jedynym środkiem... Michał całą noc znowu myślał, przemyślał i postanowił pójść; — ścigałaby na siebie podejrzenia gdyby się wymawiał.

Naznaczoną była godzina trzecia; — Skórski tak się czuł jakoś zmieszanym i zesłabłym, że po drodze idąc wstąpił do winiarni i pół butelki czerwonego wina wypił duszkiem, aby sobie dodać męztwa i siły. — W istocie poskntkowało ono o tyle, że jeszcze czuł się mniej przytomnym. — Ten sam służący w białych na ten raz rękawiczkach. otworzył mu drzwi do salonikn.... przyciemnionego ciężkimi firankami u okien... Nieopodał od wnijscia stał gospodarz... na kanapie siedziała gospodyni w sukni czarnej. Nikogo więcej nie było...

Hochwart postąpił kilka kroków na spotkanie gościa, uprzejmie bardzo go przywitał i podprowadził ku żonie, na którą Skórski spojrzeć nie miał odwagi. Głosem dobitnym przedstawił go jej.

Pan Michał Skórski obywatel z Lubelskiego...

Natalia skłoniła się w milczeniu.

Siedli — Hochwart zaczął rozmowę ożywioną — Skórski powoli słuchając go, przyszedł do siebie, ośmielił się, podniósł oczy i spotkał wejrzenie pani

domu z zimną, okrutną obojętnością wlepione w siebie. Chłód ten obrachowany krył coś przerażającego. Był groźbą, od której Skórski zadrżał. Po chwili drzwi się otwarły i weszło dwóch ichmościów we frakach znać oddawna w domu tym poufale przyjmowanych, bo generał powitał ich nie wstając nawet i wskazując siedzenia. Poznał ich zaraz ze Skórskim, wymieniając nazwiska.

Jeden z nich słuszny, suchy, wyprostowany, z wąsami wyczernionemi i włosami ufarbowanemi na rudawo-brunatny kolor, zwał się kapitan Bobrski, drugi pękaty i łysy, czerwony, usmiechający się pokornie, miał tytuł regenta, a nazwisko pocieszne Rybki.

Ci panowie wzięli na siebie podsycanie dalszej rozmowy, do której gospodyni prawie się nie mieszała. Siedziała z tym wyrazem groźnym a zimnym, jak żelazo, w oczach czarnych. ledwie po kilka słów niewyraźnych rzucając, jakby przymuszona...

Gdy oznajmiono do stołu... generał wskazał Skórskiemu żonę. Zmuszony podać jej rękę, pan Michał cały pomieszany, blady i czerwieniejący poszedł do jadalnego pokoju, szczęściem o kilka tylko kroków oddalonego. Ustąpiła była nieco obawa jaką miał w początku. lecz w ciągu rozmowy przedobiedniej pochwycone przypadkiem jakieś wejścia dziwne, które na siebie generał i goście jego rzucali, wzmogły ją na nowo... Zastawa stołu była przepyszna, obiad wyszknany i wytworny, wina doskonałe. Generał sam nie pił, ale gości przynaglał, zachęcał, niemal zmuszał do wypróżniania kieliszków. Skórski wymówić się nie mógł. W ciągu

obiadu, posadzony przy generalowej, parę razy był zmuszony odezwać się do niej, i odebrał nic nie znaczącą, obojętną odpowiedź.

Ochłonał. Pani Natalia zdawała się bez żadnego wzruszenia widzieć go w swoim domu. Skórski zaczynał sobie mówić, że jej interesem więcej daleko niż jego było wszelkie dawne stosunki pokryć zapomnieniem, to go jakoś ośmieliło, i od połowy obiadu weselszym już być począł.

W końcu podano wino szampańskie, stary węgrzyn, a po przejściu do salonu, kawę i likwory... Kapitan i regent byli oba w takich humorach, że dwu ich starczyło na ożywienie towarzystwa...

Kwadrans może jeszcze zatrzymała się gospodyni domu w salonie — i znikła... Zapalono światła wcześniej, zapuszczono franki... W bocznym pokoju zjawił się z całym przyrządem do gry zielony stolik, karty i świece.

General natarczywie proponował wista... niepodobienstwem było odmówić. Skórski przebywszy jak mu się zdawało Scyllę i Charybdę, zupełnie odzyskał swobodę, mowę i humor, który dobry obiad podsycał.

— Myśmy tu sobie zwykli wieczorami grywać małego wiścika — odezwał się gospodarz. Wiem od radcy że i pan go grywasz chętnie — ja nie lubię dziadka. Rad jestem że siądziemy we czterech.

Punkt był po dukacie, ze wszystkiemi możliwemi szykanami.

W takiego małego wiścika, można było przegrać dwieście do trzechset czerwonych złotych jednego wieczora. Ceny tej nie spodziewał się Skórski. zmieszał się nieco, ale mu wstyd było się wymawiać.

— Przyznam się panu generałowi, rzekł — że nie zwykłem grywać tak drogo.

— Cóż za drogo! co za drogo! podchwycił Hochwarth—z gubernatorem Indyj wschodnich grywaliśmy co wieczora po funcie szterlingu... Gdy się ciągle na tę cenę gra, mała wypada różnica. Nie idzie zresztą o wygranę, ale o zabawę. Grać zaś na złotych i ruble, nie ma wzruszenia i interesu.

— Ja nawet w przypadku gdyby mi nie służyła karta... nie miałbym przy sobie...

— Cóż znowu. przerwał, siadając. gospodarz i rozdając już karty — o to przecie nie idzie! U mnie rachunki raz w tydzień są płatne...

Regent i kapitan nie wymawiali się wcale. śmiało się delikatnie z wieśniaka, aby w nim szlachecką miłość własną obudzić... Wiścik się począł...

Osobliwszym trafem po pierwszym robrze wygranym, Skórski gdy jakoś śmielszym być począł. bo miał pięćdziesiąt punktów w zapasie—szansa zmieniła się nagle. W drugim wziął szlema. Kapitan grający z nim strzelał z zimną krwią niedarowane bąki, bił swe własne lewy, zrzucał najpotrzebniejsze kolory. słowem zdawał się nieprzytomnym. Robr ogromny wypadł i Skórski przegrał go na głowę. Ucieszył się zmieniając partnera. ale kapitan okazał się jeszcze gorszym graczem, i w dodatku kłócił się zrzucając winę na milczącego Skórskiego; trzeci robr był nieszcześliwy. W następnych trzech p. Michał spodziewał się to sprostować. miał bowiem sto kilkadziesiąt punktów przegranych. Lecz gdy komu nie idzie to nie idzie, gospodarz wygrywający dotąd i grający doskonale,

z p. Michałem przegrał znówu. zrzucając winę na niego...

— Kochany panie. rzekł z dziwnym wyrazem, musisz być djable szczęśliwym do kobiet, bo w kartach nie masz szczęścia...

Kapitan i regent śmieli się. mimo przegranej nie tracąc humoru. Skórski zaczynał być milczącym. Obliczał już przegranę na dwieście kilkadziesiąt punktów i dawał sobie słowo, że więcej do takiego wista nie usiądzie. Ktokolwiek dawał karty, wypadło zawsze tak, iż p. Michał najfatalniejszą dostawał.

Była godzina dziesiąta gdy tego nieszczęśliwego wista skończyli. Skórki oświadczył, że więcej już tego dnia grać nie może, bo mu widocznie szczęście nie służy. Nie nalegano wcale. Gospodarz kapitanowi zaproponował małego sztosika dla rozegrania kilkun punktów. Zaczęli we trzech grać i — choć się dawno rozegrali. ciągnęli dalej. Przystawiał ktos zawsze. Skórki siedział i patrzył.

— No—a pan... Popróbuj że przynajmniej. zawołał gospodarz.

Postawił pan Michał kilka dukatów na kartę niechętnie — i — wygrał... Dosyć tego było aby się w nim stara żyłka obudziła. Przysunął się i rozpoczął stawiać. Szło mu zrazu nadzwyczaj szczęśliwie. i to go tak ośmieliło. iż podwajał kusze, ale szczęście znówu zmieniło się... i po pół godzinnej męczarni postrzegł że przegrana cała urosła do takich rozmiarów jakich nawet przewidywać nie mógł. Rzucił więc karty i grać przestał.

— Niezmiernie mi przykro — odezwał się generał, spoglądając na niego. że pan pierwszy raz będąc

w moim domu, tak niefortunnie wyszedłeś na naszej zabawie. Ale proszę najmocniej—odegraj się pan! Ja nie życzę sobie być wygranym tak wiele. Byłoby mi to niezmiernie przykro... Staw pan, ja trzymam... Uczyni pan to dla mnie... Zmienia się szanse ..

Regent i kapitan zaczęli go żartami i na seryo podbudzać.

Skórski niegdyś był namiętnym graczem, namiętność, którą stłumił w sobie a przynajmniej do mniej niebezpiecznych doprowadził rozmiarów, teraz z całą gwałtownością wracała. Nie bardzo go trzeba było zapraszać nawet do odegrywania się. Summa przegrana przechodziła już zapas jaki wziął z domu.

Naglony p. Michał, aby się nie okazać tchórzem, postawił całą przegraną na jedną kartę. Generał zgodził się ją trzymać. Wszyscy pochylili się z ciekawością niezmierną nad ciągnącym, który powoli, jakby na tortury biorąc gościa, kartę po karcie wysuwał. Dama ta którą trzymał Skórski zaciągnęła długo — był to zły znak.

Regent i kapitan krzyknęli...—Skórski przegrał.

Tu nastąpiła długa pauza. Nieszczęśliwy stał w potach, nie wiedząc co począć.

— Staw kochany panie—ja trzymam. nie mogę pozwolić aby się to tak skończyło... Nie uwierzysz jak mi przykro! Staw, proszę...

Skórski obawiał się na jedną stawkę znowu wszystko rzucić, lecz kapitan dawał mu znaki potajemne. Regent szeptał, że gospodarz tego sobie życzy...

Stało się tedy, że postawił raz jeszcze i soniko



przegrał. Nie wiedział tego z pewnością, ale mu się zdawało, że kapitan tę nieszczęśliwą kartę podsunął.

Gospodarz na stół rzucił karty z widocznem nieukontentowaniem, ocierał pot z czoła, twarz jego była chmurna i ponura... Nie mógłby inaczej wyglądać gdyby sam był przegrał...

Summa dochodziła do kilku tysięcy rubli. Skórski stał blady jak ściana, usiłując nie pokazać po sobie co czuł i co się z nim działo.

— Nie! już dziś nie mogę ciągnąć—zawołał gospodarz do gościa. — Nie czyń pan sobie z tego nic... O pieniądzach ani myśl... Później poregulujemy te rachunki, pilnego niema nic... Zagramy wiseczka znowu kiedyś i rozegramy się, gdy ci lepsza szansa służyć będzie...

— Ale tak! tak! chórem powtórzyli kapitan i regent.

Kazano przynieść herbatę; — generałowa już się nie pokazywała.

W kilka dni po tym wieczorze pamiętnym i powtórzonych próbach odegrania się, które mimo chwilowego powodzenia, kończyły się zawsze znacznem długu powiększeniem, — Skórski winien był dwadzieścia tysięcy rubli generałowi, który się o nie nie upominał, i niby sobie z tego żartował. Zapraszał nieustannie p Michała do siebie, pragnął mu ułatwić środki do odzyskania straty i wciągnął go tak, iż Skórski z przerażeniem widział przed sobą ruinę...

Z samą panią generałową spotykał się często ale chwilowo, a oswoiwszy się z tem widmem, uspokojony iż nie zdawało się go znać nawet — przychodził



już bez obawy, wmówiwszy w siebie że przeszłość zapomnianą została...

Jakkolwiek gra ta zdawała się wcale nie obrażoną, a wypadek jej dziełem losu. zwiększając się przegrana, coraz bardziej niepokoiła Skórskiego. Wstydził się mówić o tem komukolwiek. Nareszcie jednego wieczora i obroty kapitana i regenta tak jakoś zdały mu się znaczące, iż mocno przelekły pobiegł do swego przyjaciela pana radcy.

Zastał go szczęściem w domu, przy poobiednim Kuryerku i drzémce, ze zgasłym cygarem.

— Cóż ja ciebie nie widzę już! zawołał radca — co się z tobą dzieje! Generał cię zaarendował — słyszę przesiadniesz tam całe wieczory... toście się poprzyjaźnili.

Skórski ani przeczył ani potwierdzał; — siadł zdyszany spocząć, obejrzał się i nie rychło odezwał do radcy...

— Powiedz ty mnie — nie słyszałeś nigdy nic o generale i jego grze w karty?

— Jakto grze w karty? on! w karty? pierwszy raz słyszę... Wista grywają u niego, więcej nic... Cóż to ma znaczyć?

— Tak, wista — odparł Skórski — nie mam się co przed tobą tać. Grałem i ja u niego wista... potemiśmy się rozgrywali...

— Cóż? przegrałeś? dużoś przegrał? zapytał radca przestraszony, bo on sam nie grywał nigdy droższego nadkilkogroszowego.

-- Bardzo dużo...

— Ale przecież nie tysiące?

— Tysiące — rzekł spokojnie. General wprawdzie pieniędzy brać nie chce, ani o nich słyszeć nawet... Każe mi się odegrać...

— Niech cię kaci porwał! krzyknął radca... Cóż? kilka tysięcy złotych?

— Gdzie zaś — zawstydzony cicho szepnął Skórski, — summa do której ci się przyznać nie mogę. ależ to przecież szuler nie jest?

Radca ruszył ramionami. — Nigdy o niczem podobnem nie słyszałem. W resursie grywa grubo, szczęśliwie. to prawda, lecz nikt nigdy go nie śmiałyby posądzić o grę wyrachowaną. mówiono kilka razy o znacznych przegranych.

Zamyślił się Skórski.

To chyba gra była na żart, na kredkę i bez konsekwencji, nic innego nie przypuszczam...

— Ja także, — jednak przyznam ci się. jestem niepokojny trochę...

— Sam ci winien sobie. — zimno odezwał się przyjaciel — tak się dać nnieść, zapalić.

— Mogę ci tylko zaręczyć, że choć z innych względów o generale mówią bardzo różnie, nigdy nikt o grę chciwą, o szulerstwo go nie posądzał.

Skórski opowiedział ze szczegółami swoją przygodę, i wymienił kapitana Bobrskiego i regenta Rybkę.

— To mnie dziwi że oni byli do gry proszeni, odezwał się radca. bo kapitan osławiony szuler, a regent już miał z tego powodu nieprzyjemności. Za podrabiane karty zleciał raz ze schodów, i nikt z nim uczciwy nie gra...

Skórski oniemiał.

— Ale oni oba przegrywają ciągle? zawołał.

— To rzecz niezrozumiała—zakończył radca. Przegrałeś więc do gospodarza, to jeszcze nic... da ci się odegrać.

Niewiele tem pocieszony. prosząc o tajemnicę, odszedł Skórski do domn. Wmawiał on spokój sam w siebie, ale go trawiła gorączka. po nocach spać nie mógł, olbrzymi ten dług leżał mu na piersiach. Prócz tego zmuszony dłań bywać w domn generała i spotykać się z twarzą Natalii chmurną i groźną. choć nigdy słowa od niej nie posłyszał przypominającego przeszłość, — doznawał niewysłowionego wrażenia jakiegoś, gdy czuł wzrok jej tylko zwrócony na siebie. Palił go on. dręczył. nękał..

Dziwnym skutkiem uroku jaki na nim wywierał było, że lękając się tego wejrzenia przebijającego jak żelazo zimne, nie mógł się wstrzymać od szukania go. Wkuty nim siedział niemy jak pod pręgierzem, niekiedy sam na siebie się gniewając. iż zwyciężyć się nie mógł, i odejść. uciec nie umiał.

W domu generałowa widocznie grała rolę podrzędną. sam pan okazywał jej wielkie przed ludźmi poszanowanie, lecz nie miała woli. nie śmiała się odezwać. i stosunek małżeństwa tego między sobą, musiał być bardzo przykrym. Obcym nawet łatwo się tego było domysleć.

Generał rozporządzał zwykle tem gdzie żona znajdować się miała, jak długo gdzie mogła zabawić.— Pytała się go o wszystko. Ton jakim mówili do siebie, mimo udawania czułości zdradzał walkę i nieporozumienia. Natalia poddawała się z pokorą rozkazom, — lecz gdy dla oka ludzkiego generał chciał jej

dać jaki dowód miłości, z widocznym wstrętem oznaki jej przyjmowała. Skórski to widział a raczej zgadywał...

Gdy w salonie generałowej nie było, mąż nie wspominał o niej nigdy. Czasem na służącego zadzwonił, by spytać czy pani jest w domu, ruszył ramionami niecierpliwie dowiadając się że nie wróciła. — ale milczał. — Niekiedy wśród gry wychodził na chwilę i powracał jakby sporem jakim roznamietniony i gniewny. Dom zresztą był dziwny. Zjawiały się w nim najosobliwsze postacie, cudzoziemcy bogaci, figury widocznie awanturniczem życiem napiętnowane, jacyś ludzie milczący i niezrozumiali, a obok nich najsłynniejsze imiona arystokratyczne...

Generał umiał te żywioły różnorodne uporządkować, wypraszać skinieniem gdy zawadzały, zbliżać, naznaczać im godziny takie aby się z sobą niespotykały. Kobiet bywało nie wiele, a stosunki generałowej były z nimi zimne i ceremonialne. Jedyłą przyjaciółką serca, była dawna towarzyszka, ta panna Teresa ukochana, która dziś spłynęła jako jedna z najzdolniejszych artystek... Do niej generałowa każdego prawie ranka zbiegała na chwilę z kościoła, i u niej sam na sam z nią spędzała godzinę, często łzami oblaną. Bawiła się z Lizką, uśmiechnęła do niej, mogła tu serce otworzyć... potrzebowała tego wytchnienia i orzeźwienia...

Dwie przyjaciółki roznmiały się i kochały, a były po sercu siostrami. Panna Teresa żyła sztuką tylko... i dla sztuki. Dla niej teatr nie był zarobkiem i rzemiosłem, był jej namiętnością. Gdyby los rzucił jej pod stopy bogactwo, niezależność, skarby, imię,

byłaby wszystko to poświęciła dla sceny — bez której dla niej życia nie było. I nie żąda oklasków, ani pragnienie zdobycia sławy były dla niej celem, bardzo często okryta wrzawą i bukietami swych czcicieli, schodziła za kulisy smutna i nie rada z siebie.

— Dla tych ludzi, mówiła, jak dla głuchych krzy-  
czeń—grać trzeba przesadzenie, jaskrawo, nienatural-  
nie. Inaczej cię nie zrozumieją, — odcienia delikatne  
giną, pochwycona na uczynku natura dla nich będzie  
hieroglyfem. Sztuka jest im zabawką, roztargnieniem  
tylko... bengalskim ogniem co oslepia, nie chlebem co  
karmi i słońcem co grzeje.

Panna Teresa utrzymywała też, iż powołaniem  
artysty jest wtajemniczać tłumy, jest uczyć je a nie  
do nich się poniżać... Oprócz sztuki, kochała tylko  
wychowankę, którą wszyscy mieli za własne jej dzie-  
cie, z czego się śmiała, ramionami ruszając — i kogoś  
jeszcze...

Ten ktoś, był to dawny przyjaciel młodości, mo-  
gący czulszem nazwać się imieniem. — ubogi profesor,  
który osiwiiał kochając się w pannie Teresie, a nie  
mając mężstwa się z nią ożenić. Ona mu to przeba-  
czała — Był ubogi jak profesor, na artystę się nie  
zdał, choć miał sztuki pocucie... Ona nie mogła zejść  
już z tych desek zaczarowanych, a jako pani profeso-  
rowa, musiałaby je porzucić.—Kochali się więc plato-  
niczną miłością, która z namiętności młodzieńczej.  
przeszła w nałóg serca. w przywiązanie spokojne  
i trwałe. Co wieczora przychodził profesor do niej, je-  
śli była w domu wcześniej, później jeśli grała w tea-  
trze, czytali razem, opowiadali dnia dzieje i żegnali  
się do jutra uśmiechem. — Ludzie mówili o tej przyja-

żni z przekazem, ale Teresa która nie obawiała się potwarzy biorąc Lizkę na wychowanie, nie myślała wyrzec się stosunków niewinnych dla złych języków.

Niespodziewany spadek po ciotce, nie wielki, lecz zapewniający pewną niezależność, dozwalał panie Teresie żyć i nieco wygodniej i swobodniej.

Do jej zajęć, istotnie wielkich, bo miała teatr, wychowankę i opiekę nad najniepraktyczniejszym w świecie profesorem... pamiętając o wszystkich jego potrzebach—przybywała teraz nad wszystko trudniejsza piecza nad kobietą nieszczęściem złamaną, upadłą, schorowaną i zepsutą. Początki zwłaszcza były niezmiernie trudne.—Cześnikówna nawykła do włóczęgi, zamknięta w pokoju wytrwać nie mogła.

Teresa zrozumiałwszy to, nie wymagała w pierwszych dniach, aby za próg nie wychodziła. dozwoliła jej pójść do kościoła, pobłąkać się po ulicach, ale głodem zmuszała do powrotu do domu. Tu miała izdebkę na górze czystą, usługę, i zaraz pierwszego dnia po kąpieli przymusowej, zupełnie nową odzież wdziała. Teresa dopełniając chrześcijańskiego uczynku z poświęceniem, sama własnymi rękami poszła ją uczesać, przybrać.. i dobrem słowem ukołysać.

Spostrzegłszy że widok Lizki oddziaływał na nią uspokajająco, że w obec dziecka wstydziła się nieszczęśliwa nedorzecznym wykrzyków i stawiała łagodniejszą, spokojniejszą, Teresa użyła jej dla pohamowania wybryków Róży. Dziwnym skutkiem jakimś niewinny uśmiech dziewczęcia, miał potęgę niezmierną nad zepsutą kobietą. Rumieniła się, milkła, stawała łagodną i dobrą. Patrzyła na tę istotę czystą jak aniołek, wesolą jak ptaszę i widok ten sprawiał



jej spokój — trzeźwił — kołł ból. sprowadzał zapomnienie... Lizce też winną była Teresa, pohamowanie, nawrócenie, uspokojenie nieszczęśliwej Cześnikówny.

Gdy trzeciego dnia zdolawszy się wyrwać z domu, generałowa z bijącym sercem, ze strachem o los siostry przybiegła zastukać do drzwi przyjaciółki, — Teresa nic nie mówiąc zaprowadziła ją, przodem puszczając Lizkę, na trzecie piętro...

Znalazły tu Cześnikównę ubraną czysto i próbującą modlić się na książce. Oczy miała zapłakane... Izdebka z widokiem na ogrody, miała wesołą fizyognomję... Nie było w niej śladu już ani odzieży, ani szalu z którym tu weszła Róża... Natalia zdumiała się. — Twarz jej siostry bledsza była teraz, mizerniejsza — smutniejsza może, oczy wpadłe i podsiniałe, ale obląkanie z niej znikło.

Uściskały się milcząc, nie mogły nic mówić przy Lizce, którą szczególnie szanowała Róża... Dała znak samej siostrze, pokazując dziecię. — Dopiero gdy Teresa z nią na dół odeszły i pozostały same... generałowa mogła z nią pomówić.

— Przynoszę ci niezłą wieść, rzekła... twoja zemsta się skończyła — moja rozpoczęta... Ten człowiek już wpadł w szpony mojego męża i nie wyjdzie z nich całym...

— Zabić go! zabić! — wracając do dawnego szalu odezwała się nagle Róża — zamęczyć...

— Nie — odparła marszcząc brwi generałowa — on mi jest potrzebnym. Ja chcę wiedzieć co się stało z dzieckiem mojem... czy je mam opłakiwać, czy go szukać. Jeśli się dowiem że żyje. porzucę męża, rzucę



wszystko... pójdę żyć dla niego... Jeśli zaś zabił... jeśli umarło...

Generalowa nie dokończyła.

— To nie może być! przerwała.

— Niech powie na torturach... a potem go zabić! zabić!... powtórzyła Róża uderzając ręką w stół.

— Nie—nie—zawołała generalowa,—on się z tobą ożenić musi...

Krzykiem który się zmienił w śmiech dziki, rozdarła się pierś Róży, która klasnęła w ręce ..

— On? zemną? ja w łachmanach do ołtarza... i pijana... i tysiące świadków? nieprawdaż... poczęła wołać—możeż być zemsta słodsza... a u ołtarza już plunę mu w oczy i zawołam przy świadkach, na kościół cały:—ja żebraczka, ulicznica nie chcę cię—boś ty gorszy łotr i zbój i nie wartes mnie...

— A! daj mi taką chwilę—a umrę szczęśliwą;—dodała, na kolana rzucając się Róża.

— Cicho! na Boga! cicho—i uspokój się, rzekła generalowa—zostaw mnie staranie... Skórski nie długo będzie jak ty żebrakiem... naówczas ..

Ściągnęła brew generalowa i dodała ponuro:—naówczas muszę uczynić to z mężem, aby on mi dopomógł. Nienawidzę go, ale mam nań sposób—coś znaję; on mnie nie cierpi, lecz się ulęknie. .

Róża spojrzała w zwierciadelko wiszące przy umywalni...

— A no! i nie tak już haniebnie wyglądam jak dawniej...

Wzięła się po dawnemu w boki...

— Jego sprawą upadłam... niechże mnie dziś weźmie taką jaką uczynił... Należy mu się to,.. O! że będzie kochanek szczęśliwy ręczę... Opowiadać mu

będę wszystkie moje włości z cyganami i złodziejami... jakeśmy łotrowali na węgierskiem pograniczu... i słoninę piekli z papryką przy wesołym ogniu, popijając gorzałką... Dżengo grał na cymbałach, drugi na drumli... a my szalały aż popadały jak martwe na ziemię...

Generałowa bladła słuchając, w tem w progu pokazała się główka jasna Lizki. Cześnikówna palec przycisnęła do ust, przestraszona i zamilkła jak złapana na uczynku. Twarz jej zmieniła się, spuściła oczy pokornie zawstydzona. Dziecię czyniło ją inną, bojaźliwą i spokojną. Lizka przychodziła zapytać o coś od panny Teresy, a w istocie był to tylko pozor do przybliżenia się ku generałowej, która ją lubiła i pieściła.

Względem żebraczki zachowywała się bojaźliwie, trzymała z daleka i choć biedna kobieta wdzięczyła się do niej jak umiała, dziecię nie mogło przemódz wstretu. Posługiwało jej chętnie, ale do zbliżenia się i pieszczot nie miało ochoty; takie na niej wrażenie uczynił widok łachmanów i rozognionej twarzy pierwszego dnia po przybyciu.

Generałowa pomówiwszy jeszcze z siostrą o jej potrzebach, pożegnała i zeszła na dół, Lizkę trzymając za rękę. — Tu zastała Teresę nad książką, zatoną w jakiejś nowej roli, którą studyowała. Rzuciła ją zaraz dla przyjaciółki, która raz jeszcze poleciwszy siostrę i uściskawszy ją czule, wyszła z powrotem do domu.

Zbliżała się do progu kamienicy, spuściwszy zasłone na oczy i miała wyniść z niej, gdy stojący tu, jakby na czatach, mężczyzna drogę jej zastąpił; zlekła

się z początku poznawszy w nim generała. Okryty płaszczem widocznie przyszedł ją tu szpiegować, i jak mu się zdawało, pochwycić na uczynku. W twarzy jego złośliwy tryumf się malował gdy ją zobaczył. Natalia pobladła, drgnęła, ale oczy jej zapłonęły ogniem dzikim i stanęła z dumą naprzeciw niego, marszcząc brwi ciemne.

— Nie dobrze jest tak chodzić pieszo samej po odalonych ulicach — rzekł sarkatycznie, dla tego zdawało mi się właściwem, pójść za panią i ułatwić jej powrót do domu...

Natalia spojrzała mu w oczy śmiało.

— Rozumiem, rzekła spokojnie — posądziłeś mnie pan, masz słuszność — takiej jak ja kobiecie nigdy wierzyć nie można. — Niechcę jednak abyś mnie o więcej posądzał niż jest... i bardzo się cieszę że będę mogła z nim pomówić otwarcie. — Chodź pan zemną.

Generał zmieszany stanął.

— Chodź pan zamną! powtórzyła nakazująco kobieta — potrzeba żebyś moję zbrodnię naocznie widział i o niej się przekonał.

Cała drżąca i poruszona zawróciła się na wschody, oglądając na męża.

— Proszę zamną, rzekła raz jeszcze, powrócimy tam z kąd idę, zobaczysz z kim miałam schadzkę.

Szła szybko na wschody, generał gniewny i chmurny, mrucząc, postępował za nią. U drzwi Teresy zadzwoniła tak gwałtownie, że artystka wybiegła przelekle... Ujrzawszy ją na progu, generałowa czekała aż się pokaże mąż, i odezwała się głośno.

— Przyprowadzam ci kochana Tereso męża mego. który tak był łaskaw i troskliwy, że aż tu po mnie

przyszedł. Obawiał się pan generał. ażeby w zbyt złe towarzystwo nie wpadła... muszę cię mu zaprezentować.

Zmieszany mąż, napróżno chciał wstrzymać potok słów rozgniewanej żony—dając jej znaki. Wszedł nareszcie. poznając Teresę, którą widywał w teatrze, i mruczając coś niezrozumiałego aby się przed nią wytłumaczyć. Generałowa zamknęła za nim drzwi, aby przechodzących korytarzem nie mieć świadkami tej sceny, lecz była rozogniona, gniewna, lecz już powstrzymać nie mogła.

— Panie generale, rzekła ze śmiechem boleści pełnym. kto bierze kobietę jak ja z za kulis teatralnych, nawykłą do swobodnego życia, do towarzystwa innego niż wasze, ten się zawsze spodziewać może, iż ona dla wytchnienia choćby do dawnych przyjaciół uciecze.

Jestem biedną aktorką, a gram tylko rolę waszej żony i jakiejś pani generałowej... która mi dosyć dokuczyła... Dla tego chwilami zbiegam tu odetchnąć, poskarżyć się i zapłakać. Nie dałeś mi waćpan szczęścia. ani ja panu... Ale ja nie mam sobie nic do wyrzucenia, bom mu to wcześniej zapowiedziała...

Generał zburzony, pomieszany, dawał znaki napróżno.

Przy pannie Teresie nie chciał wybuchnąć, ani też przeproszać, czerwienił się od wstydu.

— Zdaje mi się, odezwał się wręście, że tu ani czas ani miejsce do małżeńskich waśni i tłumaczeń...

— Owszem, odparła generałowa, musimy tu pomóc z sobą przy świadku. — Mam w istocie wiele do

mówienia i winy, do których się przyznać muszę, a wolę z tą spowiedzią tu skończyć, niż ją do domu odwlekać.

Generał stał zdziwiony. Teresa zakłopotana spoglądała to na przyjaciółkę, to na niego.

— Kochana Natalio — odezwała się, na miłość Bożą. spokojnie — nie unos się...

— Potem osądzisz o ile być mogę w mem położeniu spokojną. poczęła wibrującym od wewnętrznej burzy głosem generałowa... Pan generał raczył mnie szpiegować i być zazdrosnym, wszak to jeszcze honor dla mnie — bardzom mu za to wdzięczna... Skorzystam z tego... Tereso, bądź tak dobra, pójdz i poproś tu mojej siostry...

Generał rzucił się aż...

— Waćpani masz siostrę. o której nie wiedziałem.

— Tak, biedną istotę. o której i ja nie wiedziałam, mówiła Natalia — sądziłam że dawno z nędzy umarła. Znałam ją jako żebraczkę pod kościołem — jest tutaj, dla niej i ja tu przyszedłam — chcę abyś ją widział...

W chwili gdy panna Teresa posłuszna kierowała się ku drzwiom, rada że tej sceny uniknie, generał się rzucił zastępując jej drogę.

— Ja nie chcę widzieć tej siostry! proszę mi oszczędzić tego widoku...

Zaczerwienił się cały.

— Żeniąc się z panią, dodał gniewnie — sądziłem że biore sierotę, i że żadnej rodziny nie będę miał na karku...

Dość tego i chodźmy do domu.

— Musisz mnie posłuchać. panie geuerale, odpowiedziała Natalia — bo ja się ztąd krokiem nie ruszę.

do domu nie wrócę i jutro całe miasto wiedzieć będzie, że siostra żony waćpana zebrała pod kościołem. Mnie to wszystko jedno...

Hochwarth za włosy się pochwycił.

— Mów pani, czego chcesz... zawołał gwałtownie, a krótko i prędko...

— Potrzebuję pomocy waćpana, dla pomszczenia honoru mojej siostry...

Usłyszawszy ten wyraz, generał wykrzywił usta, żona jego mówiła dalej.

— Biedna siostra moja została uwiedziona przez niepocziwego człowieka... Kilkanaście lat, aż do obłąkania przywiedziona. usiłowała się pomścić. Do tej zemsty pan nam dopomóż musisz.

— Ja? do zemsty? podchwycił generał. A mnie to co ma obchodzić? to sprawa mi obca! Dosyć już i tak brnąłem w tej kałuży... Ja o tem słyszeć ani wiedzieć nie chcę...

— Waćpana to obchodzi równie jak mnie — krzyknęła generałowa — wierzaj mi! Dla Teresy nie mam tajemnic, dla waćpana mieć ich też nie chcę. Ten człowiek który zgubił siostrę moję... i przeciwko mnie jest winnym! Rozumiesz mnie pan? dodała rumieniąc się... Zgubił nas obie!

Nie kryłam tego wychodząc za was. Żem była nieszczęśliwą i występłą. Wzięłeś mnie taką jaką byłam... Zuśleszże aby człowiek, który był kochankiem moim, chodził bezkarnie po świecie?

Generał zbladł i ręce załamał.

— Mów waćpani — kto on? znam go? gdzie jest...

— Tu jest... odparła Natalia, lecz nim powiem ci imię jego — daj mi słowo, że postąpisz jak ja chcę... On się masi ożenić z Różą.

Hochwarth posępny milczał długo.

— Sposób pomszczenia się, środki — proszę mi zostawić, rzekł ponuro — nic przyrzekać nie będę... nie zwykłem się wiązać... Mogę tylko zaręczyć pani, że nie ścierpię tego, abym miał za żonę rumienić się przed kimkolwiek. Co uczynię, nie wiem. Kto on jest?

Natalia zawahała się chwilę.

— Chcę, rzekła — aby ci moja siostra potwierdziła prawdę słów moich. — Nie wierzysz mnie, posądzasz... Idź i rozmów się z nią.

— Nie — dosyć tego — obruszył się generał, mów mi jego nazwisko...

Generałowa zawahała się jeszcze. — Czula że wypowiadając je, da go na łup najprzebieglejszemu najmściwyszemu z ludzi.

— Waćpan się go zechcesz pozbyć pocichu.... i uprzątnąć go z drogi, rzekła — ja tego niedopuszczę... trzeba go ożenić z nią...

— Ale mów mi waćpani jego imię! krzyknął przyskakując generał — ja będę wiedział co uczynię — spuść się na mnie.

Śmiech ironiczny przebiegł mu po ustach, drżał cały...

— Nic wprawdzie nowego dla mnie nie dowiedziałem się tu — rzekł dysząc i przechadzając się po ciasnym pokoiku, — ale niespodziane zjawienie tego jegomości nie da mi spocząć... trzeba z nim skończyć...



kto to jest? mości pani kto jest ten Don Juan szczęśliwy... mów...

Generałowa namyslała się jeszcze.

— Moja siostra — poczęła.

— Mnie bynajmniej nie idzie o tę siostrę — ale o nią — przerwał wybuchając mąż... ale o mnie...

I uderzył się w piersi.

— Popełniłem szaleństwo żeniąc się z nią, pokutuję za to słusznie... nie chcę się jeszcze wstydzić w dodatku — kto on jest...

— P. Michał Skórski! wyraźnym, spokojnym głosem odezwała się żona. Znasz go waćpan...

Hochwarth usłyszał to nazwisko i stał jakiś czas jak przykuty — nie odpowiadając nic — po brunatnej twarzy przebiegły drgania jakiegoś jakby apoplektyczne, wprędce jednak oprzytomniał, uspokoił się. ostygł i rzekł zimno.

— Zobaczymy...

— To mówiąc podał rękę żonie, która się cofnęła nie przyjmując jej, uścisnęła w milczeniu przyjaciółkę i nic nie mówiąc wyszła; — Hochwarth skłonił się zimno. i w ślad za nią pośpieszył.

---

Pomiędzy gośćmi tego samego wieczora zaproszonymi przez pana generała, i wieczerzę, znajdowali się, oprócz Skórskiego, jeden markiz francuzki, dawny Hochwartha znajomy, który przejeżdżał dla objęcia posady sekretarza przy ambasadzie, i podpółkownik pruski, znajdujący się tu dla rozrywki może, z ołówkiem i książeczką do notat...

Generał miał twarz wypogodzoną i wesołą, a sama pani dawno nie była tak ożywioną.

Ze Skórskim, który zawsze nie bez pewnej obawy wchodził do tego salonu, generał przywitał się zaraz przy drzwiach bardzo serdecznie, uśmiechając mu się, okazując przyjaźń poufałą, niszcząc wszelkie podejrzenie. — Śledził nieznacznie powitanie jego z żoną, ale Skórski skłonił się jej z daleka, ona ledwie mu na to skinieniem głowy odpowiedziała, i p. Michał powrócił do męzkiego towarzystwa.

Nie był on zwykle bardzo rozmownym, lecz tego wieczora zmuszono go niemal do wmieszania się w ogólną paplaninę o sprawach miejskich, o teatrze, koncertach i brukowych plotkach... Podpółkownik pruski ciekawy poznać charakter tutejszego społeczeństwa, przysłuchiwał się i badał z wielkiem zajęciem; markiz znajdował, że nigdzie w ogóle piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego, nie wydała mu się wdzięczniejszą jak w Warszawie i Paryżu. — Mówiono z tego powodu wiele o kobietach. Generałowa także kilka słów rzuciła w obronie płci swojej. — Po her-

bacie zaraz zasiedli wszyscy do wista, gospodyni znikła, a Skórskiego zamówił sobie do swej partyjki gospodarz... Nigdy może nie był dla niego tak uprzejmym.

P. Michał wyciągał ztąd najlepsze wróżby dla swego dłużnika, który bądź co bądź go niepokoił.—Tego wieczora jak prawie wszystkich innych, w grze mu się znowu nie poszczęściło, co gospodarzowi dało powód do śmiechu i prześladowania go szczęściem w miłości...

— Waćpan musisz być wielkim bałamutem rzekł do niego.

— Już chyba tylko byłem nim, odparł Skórski naiwnie, bo dziś za stary jestem na to...

— Ale, ale! w starym piecu djabeł pali... rozśmiał się Hochwarth. — A w istocie czasby się ustatkować i ożenić... prawda?

— Ożenić? bodaj czy nie będzie trochę późno — odezwał się pan Michał.

— Sama pora — kończył gospodarz — posłuchaj mnie, ja waćpanu żonę znajdę... Stateczną, nie zbyt młodą.

— I posażną — wtrącił kapitan Bobrski, aby pan Michał miał co w wista przegrywać.

Śmiano się tak z biedaka, który udając spokojnego i zadowolnionego, dawał z siebie stroić drwinki i przyjmował je łagodnie.

Zwykle unikając obrachunków z gry powstałych, Skórski najczęściej się był wynosił od generała wcześniej niż inni goście. — Nie wstrzymywał go Hochwarth. Pan Michał miał myśl szczęśliwą wydania kiedyś wieczorku u siebie, popojenia gości i zapro-

ponowanie gry, przy której w domu spodziewał się być szczęśliwym. Nie posądzając wcale generała, uderzony był tem, że mu się tak u niego fatalnie nie powiodło. Tym razem też gdy wist się skończył, brał już za kapelusz i miał się do wyjścia, gdy generał wziął go poufale za obie kłapy od fraka i szepnął mu w ucho.

— Proszę cię, panie Michale, zostań na chwilkę, mamy z sobą coś do pomówienia.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż szło o dług kartowy. Skórski posmutniał, ale naturalnie pozostał; goście się porozchodzili, zostali tylko kapitan i regent próbujący się z sobą w *ecarté*, i generał wziął pod rękę przyjaciela i wyprowadził go do gabinetu, dając mu świeże cygaro...

Był w najwyśmienitszym humorze, sam ognia przyniósł do zapalenia hawanny, posadził Skórskiego w najwygodniejszym foteiu i z twarzą uśmiechniętą, klepiąc go po kolanach, rozpoczął:

— Szanowny panie Michale, rzekł, tak ci się ze mną w grze nie wiedzie, iż mi to największą w świecie czyni przykrość. Doszliśmy odegrywając się do sumki wcale nie szpetnej. Widzę że chcąc ci usłużyć, powolnością moją coraz cię dalej popycham, i nie wiedzieć na czem się to skończyć może.

Musimy nasz interesik uregulować; nie wymagam pieniędzy — będziemy grali zawsze i zwolna, możesz się oczyścić, jeżeli ci posłuży szczęście... Jednakże na sumieniu mieć cię nie chcę...

Skórskiemu cygaro zagasło; słysząc te czułe przypomnienia przyjacielskie, robiło mu się zimno i gorąco na przemiany...

— W istocie, odezwał się — zabrnąłem zbyt znacznie i nieostrożnie.

— Widzisz, ja cię przestrzegałem! dodał generał czule... masz gorącą studencką. Gdyby tak z kim innym, korzystałby z niej. Wierz mi, ludzie na szulerów narzekają i okrzykują szulerami tych, którzy tylko bardzo po prostu z szansy i głupstw ludzkich korzystać umieją. Należy być panem siebie i ostrożnym...

Ale wracając do naszego rachuneczku, dodał generał idąc do szufladki blisko stojącego stolika, i dobijając notatki — proszę cię zweryfikujmy je...

Pochylił się siadłszy obok Skórskiego i począł mu palcem cyfry wskazywać. P. Michałowi w oczach się ćmiło — marzenie owe zaczynało przybierać smutne barwy rzeczywistości...

— Mielismy parę dni temu dwadzieścia? nieprawdaż dwadzieścia tysięcy? Przybywa nam półtrzecia, za dwa wieczory... razem z dzisiejszą przegraną uczyni to dwadzieścia cztery tysiące sześćset...

Pot wystąpił na czoło Skórskiemu, który cyfrom nie mogąc zaprzeczyć, szepnął po cichu ledwie dosłyszonym głosem.

— Dwadzieścia cztery... tak... sześćset.

— Słuchaj że, odezwał się generał — może potrzebujesz pieniędzy. bo to w mieście człowiek się nigdy wyrachować dobrze nie może.. Ja ci dam gotówkę te czterysta, a ty mi wystawisz weksel na dwadzieścia pięć... Ja go schowam do kieszeni! daję ci słowo! To rzecz między nami... ale śmiertelni jesteśmy to raz — i — dodał śmiejąc się — będzie ci to hamulcem

od gry... Życzę ci dobrze... nie chciałbym abys się zgrywał...

Skórski milczał. Niepodobna mu się było oprzeć, a jakaś obawa niewysłowiona przejmowała go i napełniała niepokojem. Czuł się zrujnowanym.

Generał ani nawet przypuszczając ażeby tak prosta operacya, mogła najmniejszej ulegać wątpliwości, dobył z kieszeni pugilares, wyliczył rubli czterysta i położył je na kolanach niememu i osłupiałemu Skórskiemu; potem na stoliczku nagotował papier wekslowy. pióro, kałamarz i wskazał je ruchem ręki...

P. Michał siadł pisać nie wiedząc co czyni. Gospodarz ostrożny wezwał z drugiego pokoju kapitana, aby się za świadka podpisał.. To się bardzo niepodobalo Skórskiemu, ale i temu oprzeć się nie umiał. — Wiedział już że szczególnym składem okoliczności mąż tej co go nienawidziła, pomścił się na nim ruiną. W odegrane wcale nie wierzył.. Twarz jego malowała stan ducha upadłego. Nie mógł się odezwać ani słowa. Położył pióro na stoliku i siedział ogłupiały.

Generał nań spojrział i poklepał go po ramieniu.

— Masz w istocie minę, odartego na gładkiej drodze człowieka... Mógłbym się za to pogniewać! Co u licha. — Chciałeś grać, trzymałem ci póki i jak ci się podobało... Los tak rozrządził. — Nie możesz mi tego mieć za złe...

Mówiąc to weksel zasypał i schował do pugilaresu.

— Ja cię o dług ten wcale naglić nie myślę i nie będę. Możemy grać. służę ci zawsze... tylko nie po-

zwolę już żebyś tak szalenie poniterował... Zapalas się.

— A tak! zapala się pan! bardzo się pan zapala! potwierdził przywołany kapitan... a w grze. pierwsza rzecz krew zimna... to prawidło...

Tym razem Skórskiemu zdawało się, że miał prawo już wziąć za kapelusz, i pożegnawszy gospodarza wyjść — na świeżem powietrzu medytować nad swoim położeniem...

Niezmiernie uprzejmie pożegnał go, cisnąc mu obie ręce gospodarz i odprowadził aż do drzwi...

— Nie frasuj się pan, i nie miej do mnie pretensyi — odezwał się — uczyniłem to dla twego własnego dobra... Rozmyśliwszy się przekonasz o tem... Dobranoc — jutro czekamy cię z wiseczką a choćby i sztosikiem...

Tak pożegnawszy zszedł ze wschodów Skórski. z pomocą przyświecającego mu lokaja, któremu za tę grzeczność jeszcze zapłacić musiał. Znalazłszy się w ulicy, nie wiedział dokąd iść, — chciał co najrychlej pomówić z radcą, była godzina późna, o której go najprędzej mógł zastać w domu. Śpiesznym krokiem pobiegł do niego.

Fazyński tylko co był z resursy powrócił i zabierał się do snu, gdy mu spóźnionego gościa przyprowadzono. Poznał z twarzy od razu, iż nie przychodził darmo.

— Co ci to jest — zapytał cicho.

— Jestem — zrujnowany, krótko odparł Skórski. Wasz pan generał to poprostu łotr i szuler... Grałem jak dzieciak... zapędziłem się, żartowałem ze mnie traktując tę sprawę jakby jej nie brał na seryo — a dziś,



dziś mi sobie kazał wydać weksel... na dwadzieścia pięć tysięcy rubli, z których patrz ile mi pozostało...

To mówiąc owe czterysta rzucił na stół.

Radca porwał się za głowę i krzyknął.

— To nie może być!

— Ale mówię ci, tak jest!

— Dwadzieścia pięć tysięcy rubli... ale to fortuna...

Czyś oszalał...

— W istocie wart jestem aby mnie wsadzono do czubków. Zrazu łudziłem się tem, że mi się da odegrać, — dziś, pomimo jego przyjacielskich zaręczeń, przekonany jestem że weksel...

— I dałeś mu — weksel! przerwał radca.

— Musiałem! wybąknął Skórski.

— Fatalnie! szepnął rzucając się w krzesło gospodarz.

— Byłeś i jesteś moim przyjacielem — odezwał się Skórski, trąc czoło, jakby uciekającą pamięć chciał przywołać; radź mi...

— Cóż tu radzić — odparł radca — to poprostu ruina. Wiele warta Brończa.

— Może być warta pięćdziesiąt...

— Masz na niej Towarzystwo...

— Naturalnie.

— Długi prywatne?

— Któż bez nich...

— Cóż ci zostanie?

Skórski pomyślał i gorzko się śmiejąc rzekł: — Zostaje mi rewolwer, którym sobie mogę w łeb wypalić — lub kij i torba...

— No — przerwał radca — przecież możesz znaleźć jakieś zajęcie!

— Jakie? zapytał z goryczą Skórski. chyba leśniczego lub berejtera... a tych jest więcej niż miejsc dla nich. Jeżeli generał zechce być surowym. choć mi obiecuje powolność...

— Obiecuje ci...

— Tak... ale 25.000?

Zamilkli... Radca ziewnął. pora była późna. przyjaciel zrujnowany wcale nie na rękę...

— Jakoś to będzie! rzekł wstając... Idź spać, uspokój się—namyśl... Sądzę że generał nie zrobi skandalu... Będzie mu szło o to, aby za szulera nie uchodził.

Pożegnali się i Skórski pociągnął do domu. Nie powiedziawszy słowa służącemu, rozebrał się i położył...

Nazajutrz uczuł się chorym i nie wyszedł wcale, ani dnia następnego — nikt go nie odwiedził, ani się dowiedział nawet... Czwartego dnia z rana, gdy się zbierał już na miasto wyjrzeć, służący oznajmił mu wizytę generała.

Zwykle Hochwarth przychodził wesół, żartobliwy, nastrojony na ten ton wygodny, który pozwala mówiąc wiele nie powiedzieć nic.—Tym razem z twarzy posępnej widać było, zły chumor jakiś, nieukontentowanie, kwas niezwykły. — Wcale się nie rozczulając nad Skórskim. zdaleka go powitał, dosyć zimno. zamknął drzwi od pokoju i usiadł w krześle zachmurzony.—Skórski nie mógł jeszcze odgadnąć co to znaczyć miało, ale łatwo się domyślał że nic dobrego.

Po chwili milczenia. Hochwarth począł tonem zmienionym i dosyć twardym.

— Nigdy się tego po panu nie spodziewałem, abys mi za moją powolność miał się tak wywdzięczyć?

— Ja? cóż to jest? spytał p. Michał.

— A no, pozwól, gorąco rzekł ciągnąc dalej Hochwarth. tak się nie postępuje z ludźmi, którzy z pełną ufnością, po przyjacielsku, w domu przyjmują.

Grałeś pan u mnie jakieś chciał, przegrałeś nie-mał dobrowolnie... Zamiast mi być wdzięcznym, żem mu był powolnym, tegoż samego wieczora gdyśmy się obliczyli, pobiegłeś na skargę do radcy. Okrzyczano mnie w mieście za szulera! al tak się nie robi, moiści panie! tak się nie robi!

— Panie generale — rzekł zmieszany Skórski, klęk ci się wszystkiem co mi najdroższe, nie skarżyłem się, poszedłem się radzić.

— Cóż znowu! mów pan sobie co chcesz! co to jest! wołał generał coraz się mocniej ozywiając—to nie jest postępowanie ani przyjacielskie, ani roztropne... Ja tego znieść nie mogę! Otrąbiają mnie po mieście jako gracza, który waćpana całego majątku pozbawił, dla tych tam głupich dwudziestu tysięcy...

Wstał nagle Hochwarth.

— Kiedy tak jest—dodał—przyszedłem panu oznaj-mić, że między nami stosunki są zerwane... Rozumie się iż mojego długu poszukiwać będą prawnie... Niech-że za to że na mnie psy wieszają, mam przynajmniej korzystać jakąś...

Skórski milczał. — Przez parę dni miał czas roz-ważyc swe położenie i wiedział, że w razie pociągnię-cia do wypłaty, nie uratuje się od zguby.

Generał pomimo roznamietuienia ogromnego był panem siebie — groził zerwaniem i odejściem, ale z niem nie spieszył wcale. — Przechadzał się po poko-

ju. trzymając kapelusz w rękę. zdawał czekać na tłumaczenie obwinionego.

— Nie czuję się wcale winnym, odezwał się Skórski. — Nie było grzechem w położeniu jak moje naradzać się z przyjacielem, którego prosiłem o sekret...

— A który nazajutrz nic nie miał pilniejszego nad rozniesienie po mieście wiadomości, że ja waszmości ściągnąłem do mojego domu. aby go do koszuli zgrać. Ja waćpana nie zachęcałem ale odciągałem od gry... Ja tej kalumnii zniesć nie mogę i nie zniosę...

— Cóż ja mam uczynić. i czego pan żadasz ode mnie? zapytał Skórski już podrażniony... Czy satysfakcyi?

Generał odwrócił się szybko...

— Jakiej satysfakcyi? rozśmiał się ironicznie. Najprzód mi waćpan uczynić to, żebyś mi przegraną sumę zapłacił. Potem, jeśli chcesz innej, dam chętnie i pozwalam ci wybierać broń. rodzaj pojedynku, jaki się podoba... Wprzód tylko zapłacić! cha! cha!

Chciałbyś się tanim kosztem zbyć długu... Przepraszam...

Cierpliwości brakło Skórskiemu.

— Licytuj pan majątek—zabierz go sobie — rób co chcesz...

— Zapewne że inaczej uczynić nie mogę... odparł generał...

Zamiast wyjść, czego się spodziewał p. Michał. Hochwarth usiadł i mówił nieco łagodniej.

— Ja waćpana żałuję — rzekł. mogłeś nie mieć złej woli, a mimo to wyrządziłeś mi krzywdę. Droższą mi jest reputacya nad wszystko... Radbym waćpana ratował...

Skórski milczał.

— Mogę waćpanu nastręczyć ożenienie, które ruinie majątkowej zapobieży...

— Co ożenienie? zapytał zdumiony Skórski. Z kim?

— Nie mogę osoby kompromitować, dopóki w zasadzie się ze mną nie zgodzisz na nie — chcesz się żenić... połatamy wszystko, będzie cicho, sza, zgoda i przy wsi zostaniesz...

— Ale z kimże przecie? powtórzył Skórski. na ślepo się żenić nie mogę...

— Osoba ze wszech miar dla waćpana przypadająca... a nawet do pewnego stopnia krewna moja — odezwał się generał...

Ostatnie wyrazy tak zdumiały Skórskiego i jakieś w nim podejrzenie obudziły, iż poskromiwszy się i nie dając poznać co uczuł, spolitykował.

— Nad tem, rzekł, przynajmniej mi się pan dasz namyśleć.

Hochwarth popatrzył nań.

— Nie nagle, odparł, namysław się pan—przyjdę za parę dni po odpowiedź.— Wstał, bez ceremonii kapelusz kładząc na głowę, i bez pożegnania wyszedł z pokoju...

Skórski upadł na krzesło...

Położenie było rozpaczliwe. — Dziwna ta zagadkowa propozycja ożenienia, chodziła mu po głowie, jak coś niezrozumiałego. Widział się osnutym siecią intrygi jakiejś, zgubionym... Życzył sobie ożenienia, ale jak wszyscy starzy kawalerowie trudnym był w wyborze. To co mu tak narzucano, nie mogło być czem innem jak ciężarem i niewolą. Oburzył się...

— Wolę sobie w łeb strzelić! zawołał... Nie mógł już i tego dnia wyjść z domu, zamknął się, służącemu nakazał aby nie puszczał nikogo i gryzł się myślami. z których się wyplątać nie umiał...

Zmierzchało już, gdy siedzący w przedpokoju lokaj, mimo rozkazu pańskiego nie przyjmowania nikogo, przyszedł oznajmić, iż pani jakaś zakwefiona, nieznajoma, koniecznie się domaga być wpuszczoną.

Skórski począł zniecierpliwiony dopytywać, jak wygląda, jak ubrana... Nie miał żadnych stosunków w Warszawie. — Ciekawość go wreszcie pobudziła do przyjęcia.

W mroku ujrzał w chwilę potem kobietę zakwefioną, idącą krokiem śmiałym do jego pokoju... Z postawy poznał że to ktoś był z towarzystwa lepszego, na myśl mu przyszła dziwaczna propozycja generała. Nie wiedząc co myśleć, postąpił kilka kroków... Kobieta odsłoniła w milczeniu twarz, poznał generałową Hochwarth.

Na widok jej cofnął się przerażony. Błada, z oczyma gniewem zapalonemi, stała przed nim patrząc nań z pogardą i wyższością sędziego. który ma wyrokować o winowajcy.

— Poznajesz mnie pan — odezwała się — domyśleć się powinienes po co do niego przychodzę... Winienes mi sprawę zdać z losu mojego dziecka... Gdzie ono jest? mów.

Skórski oniemiał.

— Mów prawdę—dodała generałowa—jesteś w ręku męża mojego. który cię może oszczędzić lub zgubić—zależy to ode mnie... Mów, mów mi prawdę, coś zrobił z dziećciem...

Skórski, któremu zimny pot na twarz wystąpił, nie mógł słowa przemówić. — Wejrzenie jego ukośnie badało kobietę, namyslał się nad kłamstwem, które miał powiedzieć.

— Dziecię umarło, rzekł słabym głosem.

— Kiedy i gdzie? zapytała generałowa.

— Na wsi—n mnie;—cicho odparł Skórski.

— To fałsz—niegodny fałsz jak wszystko co twoje usta wymawiały... Dziecię oddałeś precz z domu, wysłałeś je... to wiem? Dokąd?

Skórski upokorzony zamilczał..

— Jeśli masz odrobinę sumienia. mówiła generałowa, powiedz prawdę... Komu i gdzie je oddałeś? Chciałeś się go pozbyć...

Wzięty na badanie — p. Michał wybuchnął wreszcie gniewnie.

— Nie wiem co się z niem stało... Oddałem człowiekowi, który się podjął wychować je — zapłaciłem mu za to;—nic więcej nie wiem...

— Człowieku bez sumienia, bez wiary! łamiąc ręce krzyknęła kobieta. Przyznajesz się do tego żeś nie miał miłości ojca, ani nawet litości człowieka. — Oddałeś dziecko?... Kłamiesz i teraz...

— Mówię prawdę — ponuro i ostro krzyknął Skórski,—o dziecku nic nie wiem, o człowieku co je wziął nie miałem wieści...

— Rozpłakała się Natalia; Skórski stał zimny i rozdrażniony tylko.

— Nie miałbym żadnego powodu skrywać wam losu dziecięcia, gdybym o nim wiedział. Winny czy nie, przysięgam wam...



Generalowa słysząc o przysiedze rozśmiała się głośno, popatrzyła na niego z pogardą największą, zakryła twarz i wyszła z pokoju...

Ta scena dobiła już nieszczęśliwego, starego kawalera; jak na pół obłąkany zawołał naprzód służącego. chcąc mu coś rozkazać, namyślił się potem — i począł śpieszuie odziewać jak do drogi... Drzwi zamknięte były na klucz... Około godziny dziewiątej wieczorem, uporządkowawszy wszystko, wydawszy rozkazy służce, Skórski po cichu wysunął się z domu.

— Zabierzesz rzeczy i pojedziesz do Brończej jutro — rzekł wychodząc. — Nie było czasu do stracenia. Na Pradze u znajomego handlarza koni. mimo nocy, kupił pierwszego z brzegu jaki mu się nadarzył. dostał siodło... i puścił się nad ranem w podróż.

Gdy nazajutrz około południa przyszedł Hochwarth odwiedzić Skórskiego, znalazł tylko służę i tłumoki.

Na zapytanie o pana, odpowiedział pozostały, że wyjechał nocą pośpiesznie, niewiadomo dokąd, a jemu polecił rzeczy odwieźć do Brończej. — General nie zdawał się tem ani zdziwiony, ani bardzo zagniewany. Przyjął wiadomość dość zimno, uśmiechnął się ironicznie, popatrzył na zegarek, zaczął świstać chodząc po pokoju, popatrzył na tłumoki, pogadał ze służącym. rozpytał go o folwark, dom, pola i gospodarstwo w Brończej, a w ostatku dawszy mu parę złotych na piwo — odszedł.

Daleko więcej zdziwiony był radca, dla ceremonii chciał odwiedzić dawnego towarzysza, a przybył post factum, gdy już nawet służi i tłumoków nie było. Stróż kamienicy, człek poważny i umiejący opo-

wiadać detalicznie historye swych lokatorów, trzymał go pół godziny, opisując jak ten pan drapnął po nocy na piechotę, jak sługa później wyjechał z rzeczami, i jak najpewniej długów się moc po nich zostać musiało...

— A mnie co do tego? dokończył stróż, nie zgłasza-  
li się do mnie żebym dał znać gdyby fugas chru-  
stas chciał zrobić; — nie dał żaden złamanego sze-  
lęga.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



16-11-59

48-

Biblioteka Raczyńskich

JK 494



JK0494